

ROZDZIAŁ XVII

Wzdłuż uliczki biegnącej do sądowego gmachu aż po kolejowe tory przez długi miesiąc wisiały na parkanach obszerne obwieszczenia oznajmiające wielki ludowy wiec mający się odbyć w sali miejskiej czytelni.

Zgodnie z przewidywaniem organizatorów wiecu w określonym dniu i godzinie sala czytelni wypełniła się ludźmi po brzegi. Toteż punktualnie o godzinie osiemnastej za stół prezydialny wszedł starszy brat cerkiewny Kłym Sahajdacznij. Rozglądając się po sali, jakby sprawdzał liczebność przybyłych, po chwili zastanowienia się zaczął, jak zwykle, swym tubalnym głosem:

-Wielce szanowni bracia! Otwierając dzisiejszy wiec, witam wszystkich zebranych miłych naszemu sercu i cerkwi. Stawiliście się na zawołanie wybranej przez was starszyny, by wysłuchać z uwagą głównego mówcy, szanownego pana doktora Martyluka, syna naszego przewielebnego parocha. Szanowny pan doktor Martyluk - ciągnął - znajduje ogromny szacunek wśród arystokracji i ludzi zwykłych. Cieszy się wielkim autorytetem wśród ludzi nauki i tych, którym udziela pomocnej wiedzy lekarskiej. Wymawiając ostatnie zdanie, spojrzął w kierunku pierwszych miejsc, gdzie wśród starszyny i obok swojego ojca księdza parocha siedział jakby przygnębiony pochwałami Sahajdacznego doktor Martyluk. Zdawało się, że znajdował się poza zebranymi, poza wiecem, bowiem nie usłyszał zaproszenia Kłymowego do zabrania głosu, dopiero lekki szturchaniec ojca obudził go z zadumy. Wstał więc i ruszył ku mównicy znajdującej się na podium, tuż obok prezydiального stołu. Witany gromkimi oklaskami rozpoczął od rodowodu wszystkich ludzi żyjących w tym regionie i okolicy. Historia dowodzi, że jesteśmy narodem wymieszanym, nie dojdiesz początku lub końca którejkolwiek nacji. Jesteśmy narodem spokojnym i nie ulegającym wpływowi zła. Ciągła myśl o pięknej idei naszej ojczyzny tkwi w nas niczym relikwia. Nasi wielcy poeci i pisarze nakreślili szlachetność współzycia z innymi narodami. Dzisiaj obserwujemy, że duża część polityków podburzana przez złych doradców pragnie nasz spokojny naród sprowadzić na manowce, na drogę, skąd może nie być odwrotu. Chcemy żyć, a nie ginąć. Chcemy, aby przyszłe pokolenia błogosławiły nasze poczynania, których uwieńczenie znalazłaby sprawiedliwość dziejowa. Oby jak

najszybciej nadszedł dzień ludzkiego pojednania.

Nagle w rogu sali rozległ się przeraźliwy gwizd przez palce z jednoczesnym okrzykiem: - Breszesz! Breszesz!

- Proszę o spokój! - huknął Sahajdacznij. Pozwólcie doktorowi mówić. W tym momencie na sali wygasło światło. Za stojącym przy mównicy mówcą zjawił się osobnik, który jednym silnym uderzeniem zwałił z nóg doktora Martyluka.

- Światła! Światła! - ktoś zakrzyknął. W samej rzeczy za chwilę w pomieszczeniu ponownie zabłyśły elektryczne żarówki, ukazując na podium, obok szanownego prezydium wiecu zmasakrowane ciało człowieka, obok którego leżał żelazny łom, dokument porzuconego narzędzia zbrodni.

Na sali wszczął się tumult, gawiedź wiedzioną strachem uciekała drzwiami i oknami. Na sali wśród porzuczanych i połamanych krzesel zostało tylko kilku odważniejszych.

Nad ciałem denata, w towarzystwie cerkiewnej starszyny, pełen rozpacz stał ksiądz paroch. Wywołany tumult i wrzaski na zewnątrz budynku czytelni przywołały krążący nieopodal patrol policji. Ci, stwierdziwszy stan dokonanej zbrodni, starali się pozyskać świadków tego czynu. Niestety, pozostali na sali uczestnicy wiecu łącznie z księdzem parochem stwierdzili jedynie, że morderstwa dokonano przy zgaszonym świetle, wskazując żelazny łom jako narzędzie zbrodni. Oględziny lekarskie i policyjne trwały bez mała do rana, podczas nich zginął żelazny łom, jedyny świadek zbrodni. Komuś zależało, żeby go usunąć, bowiem, jak się domyślano w komisji policyjno - lekarskiej, morderca mógł się znajdować wśród relacjonujących zdarzenia.

W okolicy nastąpiła wielka żałoba. Oczekiwano pojmania mordercy. Niestety chwila taka nie nadeszła ani wówczas, ani nigdy potem. Ogólnie jednak się domyślano, że komuś ważnemu lub kilku ważnym usilnie zależało, aby zabójca nie został ujawniony, bowiem byłnim jeden z nich, a mianowicie ktoś podręczny cerkiewnym braciom. W kilka dni potem odbył się pogrzeb, na który przybyło tysiące ludzi. Wielu pragnęło podczas marszu żałobnego z cerkwi na cmentarz znaleźć się obok trumny, by chociaż przez chwilę nieść ją na wieczny spoczynek. Jednak w ogromnym tłumie na to nie było możliwości. Kondukt pogrzebowy prowadziła cerkiewno - bracka dęta orkiestra; grając żałobne marsze, zagłuszała okrutny szloch matki, braci zmarłego oraz kroczących tuż za trumną krewnych. Nad grobem mowę pożegnalną wygłosił ksiądz Matwiejew, a że natura nie poskapiała mu daru wymowy, nic też dziwnego, że u wielu wiernych wywołał żal i łzy. Stojący nad grobem ksiądz paroch

ponoć rozmawiał z duszą zmarłego syna, prosząc go o przebaczenie za błędy, które między innymi stały się powodem jego śmierci. Po czym przyjmując od starszyny wyrazy żalu, prosił niektórych na plebanie, uważając przy tym, aby nie pominąć Mikiety Medwedzia.

Tego dnia na pokojach księdza parocha rozmawiano do późnego wieczora, głównym motywem ciągle była nieoczekiwana śmierć młodego, mądrego i szlachetnego człowieka, innego jednak duchem od pozostałych braci cerkiewnych, o czym wiedzieli i to ich, a szczególnie wielebnego księdza parocha, okrutnie bolało.

W kilka dni potem, wieczorem do okna plebanii cerkiewnej zabębnił Mikieta Medwed, a gdy mu otworzono, niczym szerszeń wpadł do wnętrza, pytając o parocha, który w tym czasie w swojej komnacie przy stole medytował nad plikiem pożółkłych papierów. Z zadumy obudził go szmer uchylających się drzwi. Odruchowo więc zgamał do szuflady część rozrzuconych papierów, podchodząc niezwłocznie z wyciągniętą ręką do przybyłego gościa.

- Witam szanowny bracie; co cię przywiodło o tej porze? - zapytał.

- Wybaczcie, otcze, ale okoliczności zmusiły mnie do tego - odrzekł Medwed.

- Cóż to za okoliczności, miły druhu? - ponowił pytanie paroch.

- Dokumentacja dotycząca budowy bunkrów zginęła - odparł.

- O, to coś niezwykłego - mruknął ksiądz, patrząc na pozostałe na stole papieryska.

- Wczoraj sprawdzałem, była na swoim miejscu - dodał Mikieta.

- Niedobrze, niedobrze, druhu - chodząc po komnacie spazmował paroch. A czy w okolicy nic podejrzanego nie zaszło? Nie zauważyliście czego?

- W zasadzie nie. Jedynie parę dni temu gliniarze wałęsali się po wsi z końca w koniec; oczami odprowadziłem ich aż za iwanowski gościniec. Był to, myślę, zwyczajny patrol - relacjonował Medwed.

- Uważam, że zachodzi potrzeba przedsięwzięcia czegoś, szkoda wielka by wynikała, gdyby wpadli na nasz trop - wtrącił ksiądz paroch. Myślę, że staje się koniecznym ponownie ograniczyć nasze spotkanie do minimum. Na przykład niektóre sprawy można by omawiać u Zakwasa nad Wolica, a niektóre na Zieleńcu i Semenowie - dodał.

Zgodnie z zamysłem księdza parocha już od dnia jutrzejszego postanowiono zachować bezwzględna ostrożność w zwoływaniu starszyny w rejonach: Hleszczawy, Iwanówki i miasta. Toteż kto obserwował dotąd ruch tejże organizacji, powiedziałby, że przestał istnieć. Zdawało się, że czołowi cerkiewni bracia zatarcili swą wysoką,

organizacyjną aktywność. Nawet znany z nadzwyczajnej pilności Mikieta Medwed, trzymając się czynności bieżących w swym gospodarstwie, chodził jak struty. Ciągłe myślał o zniknięciu drogocennej dokumentacji.

Pewnego dnia pocztą pantoflową otrzymał wiadomość, że we wsi od kilku godzin przebywa dwóch lub trzech młodych, nieznanymi mężczyzn. Potwierdziła to jego żona Naścia, która idąc do sklepu, zauważyła kręcących się obok dwóch mężczyzn.

- Wyglądali na panów z miasta - rzekła w trakcie swej relacji - a strzygli oczami, jakby kogoś oczekiwali, szczególnie ten wielkolud, który spojrzawszy na mnie, zapytał z głupia frant:

- Słuchajcie, gospodyni, czy mąż wasz jest dzisiaj w domu? W pierwszej chwili myślałam, że padnę ze złości, a kiedy przemogłam się, rzekłam:

- Nie wiem, może jest, a może nie ma. Od godziny jestem poza domem, więc dokładnie powiedzieć nie mogę. Ten drugi coś mruknął za chwilę obaj powlekli się w drugi koniec wsi.

- Ale, coś ty taki niespokojny? - zapytała.

- Nic mi nie jest, myślę tylko, kogo to tak pilnie interesuje moja osoba - odrzekł kierując się do piwnicy, aby po raz któryś zajrzeć do schowka, gdzie jeszcze przedwczoraj leżały drogocenne dokumenty. Stanąwszy nad schowkiem, od nowa zaczął podejrzewać Naścię i najmita. Postanowił zatem wypatrzeć i wybadać najmita, z kim się zadaje i gdzie wieczorem przebywa. Nie zwlekając już pierwszego wieczora zaczął obserwację. Odprowadziwszy oczami parobka na legowisko w stajni, zaczął wpatrywać pod szopą, między wozem drabiniastym, a saniami pełnymi świeżo skoszonej trawy. Noc była chłodna. Nad ranem zaczął padać drobny deszcz. Zmarznięty, zmęczony i posępny udał się na chwilę do izby po kozuch. Będąc w izbie, usłyszał cichy zgrzyt zamykających się drzwi stajni.

- A niech cię diabli wezmą! Tyle siedziałem na czatach i nie dopilnowałem go, ale zato on mnie dopilnował, widzę - szepnął wstrząśnięty do żywego, podchodząc czym prędzej do okna - na obejściu było spokojnie.

- Chyba się przesłyszałem - pomyślał wchodząc na bambetel pod grubego, łosiowego koca, gdzie niebawem po utraconej nocy głęboko zasnął.

Śłońce w chłopa już było, gdy Naścia tarmosząc go wołała: - Wstawaj, jacyś nowi na podwórzu. Mikieta zrywając się z łoża wrzasnął:

- Nie wpuszczaj ich do izby, sam wyjdę do nich.

- Nie trzeba, nie trzeba - powiedział nagle nieznanomy osobnik, wtargnąwszy bez zaproszenia do wnętrza izby.

- Kto wy i czego chcecie o tak wczesnej porze? - naciągając pośpiesznie na się robocze odzienie zapytał rozsierdzony Mikieta.

- Oczywiście, że powiemy - odrzekł jeden z przybyłych, patrząc przez okno na bezkresne podolskie pola. Chcemy porozmawiać w istotnej dla nas i dla was sprawie.

- Howory skorsze, detyno, bo terpinia mene muczut - pomyślał Medwed, skrabając się chwilami po rękach przy zawiniętych rękawach koszuli.

Widocznie przybysze zrozumieli niemą intencję gospodarza domu, przystępując zatem do sedna sprawy.

- Jesteśmy w posiadaniu dokumentacji przetrzymywanej przez was przez kilka tygodni. W porozumieniu i na wyraźny rozkaz naszej wspólnie organizacji politycznej przedmiotowe dokumenty znalazły się w naszych rękach celem ich dokładnego rozeznania, a niebawem wprowadzenia ich w czyn - oświadczył tym razem osobnik o wiele niższy swą budową ciała i charakterem mowy.

- Nazywam się Bohdan Bereza. Jestem inżynierem budowlanym. Mój pomocnik i przyjaciel, wskazał ręką potężnie zbudowanego osobnika ciągle stojącego w otwartych drzwiach, nazywa się Iwan Mamalyga i jest nieocenionym technikiem budowlanym. Zgodnie z rozkazem naszych władz konspiracyjnych określone dokumentacją roboty powinniśmy zacząć już w najbliższym tygodniu. Wy pułkowniku, jak wiemy, jesteście odpowiedzialni za powodzenie kontynuacji rozpoczętego dzieła - zakończył Bereza.

Mikieta jakby kto oblał gorącym ukropem. Trzymając rękę w kieszeniach spodni, zapytał: O czym wy mówicie, młodzi ludzie? Nic z tego nie rozumiem. Kto was przysłał?

- O, widzicie, pułkowniku, pierwsze mądre słowa. Jak z tego wynika, wkrótce się dogadamy - odrzekł Bereza.

- Prowokacja i szantaż! - wrzasnął ponownie Mikieta. Nie znam was! Precz z mojego domu, i to już, wołociuhy. Zabiję jak sobakę, jeśli natychmiast nie opuścicie mieszkania - dodał.

- Oj serdytyj z was ataman, serdytyj - rzekł Bereza stojąc spokojnie oparty ręką o stół - po co te nerwy, porozmawiamy spokojnie, uczciwie - dodał.

- Wychodź! - syknął przez zęby Medwed, idąc w kierunku Berezy.

- A dokąd to, panie gospodarzu? - zawołał nagle wielkolud, nazwany przed chwilą Mamalygą, odwodząc jednocześnie kurek od pistoletu. Mikieta na czoło wystąpiły krople potu, uczyniwszy gwałtowny ruch znalazł się za oknem, znikając następnie za budynkiem stodoły.

- Nie uwierzył nam - rzekł Bereza rozbawiony akrobatycznym wyczynem Mikiety. Nie powiodło się dzisiaj. Myślę, że załatwi to osobiście ksiądz paroch Martyluk. Nic tu teraz nie wskóramy - dodał opuszczając razem z wielkoludem obejście Medwedzia. Gospodyni, odprowadzając ich oczami aż po hleszczawiecką granicę, rzekła do wracającego zza stodoły Mikiety:

- Mara jeha znaje, szczo to za lude.

ROZDZIAŁ XVIII

Młodym Semeniukom na nowym miejscu powodziło się niezgorzej, nie opuszczała ich jednak tęsknota za rodzinną chatą, ziemią i ludźmi. Janek, pracując na kolei, szybko zyskał wśród współpracowników i mieszkańców kolonii autorytet i szacunek. Bazylek rósł jak na drożdżach, słowem, szczęście rodzinne wzmagало się z każdym dniem.

Do Sadów w odwiedziny matki Józefowej przyjeżdżali co najmniej raz w roku, a to podczas korzystania z Jankowego urlopu wypoczynkowego. Będąc w Sadach, za każdym razem odwiedzali grób matki Anastazji, nie zapominając życzliwych im sąsiadów i znajomych. Wstęp do rodzinnego domu był nadal przez starego Semeniuka zabroniony. Z żalem więc Janek, zapuszczając się nieraz w tamte strony Sadów, przyglądał się chyłkiem coraz bardziej ku upadkowi ojcowiznie.

Medunka służył u Semeniuka po nowemu, nie oszukując gospodarza, sam sobie wypłacał za pracę. Wasyl, widząc niezwykle uczciwość najmita, dusił w sobie złość za ten wybryk, nigdy jednak nie wypominał mu tego. Mimo doskonałych zabiegów połowych, dzięki czemu podnosiły się plony, w komorach i zachowankach świeciły pustki. Bydło, porykując, wspominało czasy gospodyni Anastazji. Służąca przyjęta niedługo po śmierci gospodyni, nie bacząc na podupadającego na zdrowiu gospodarza, gotując strawę, lepsze kąski wyciągała dla najmita i siebie. Medunka, mimo jej zabiegów, unikał jej jak złego ducha.

- Cóż on takiego? Taki sam najmit jak i ja - myślała niekiedy. Chcąc wzbudzić w nim zazdrość, poczęła świecić oczami do młodego Makudema, syna jednego z sąsiedzkich gospodarzy, a że i ten manewr zawiódł jej oczekiwania, poczęła rozdawać swe wdzięki byle komu i byle z kim.

Obserwując to, Wasyl nieraz zamierzał oddalić Pośmietiuchę ze służby, za każdym jednak razem z uwagi na wizję gospodarstwa zamiar ten upadał. Obawiał się, że nawet byle jakiej strawy nie będzie komu zgotować oraz dopilnować drobnego dobytku, w tym kur, kaczek, gęsi, indyków i nierogacizny. Rad był zwierzyć się komu ze swych doznanych krzywd, lecz w Sadach prawie że omijano go. Na plebanii również nie mógł się pokazywać, bowiem starszyczna cerkiewna uznała za stosowne zaprzestać na pewien czas brackich zebrań.

W sukurs jego marzeniom przycerkiewna sekcja organizacyjna zaplanowała urządzenie w następną niedzielę ludowego festynu, lokalizując

go na posesji Zakwasa. Z tejże okazji zaproszono ważniejszą starszyznę cerkiewną na czele z księdzem pułkownikiem Martylukim.

Semeniuk tym razem już przed świtem rozpoczął oporządzenie żywego inwentarza, stwierdziwszy dość wczesne i akuratne wykonanie porannego obrządku - huknął na służbę, podążając spokojnie do izby przywdziać niedzielne szatki. Niebawem, wypiwszy gamuszek mleka z kawałkiem razowca, spoglądając po raz któryś po obejściu, ruszył spokojnie w kierunku wsi Wolica. Po godzinie stanął wreszcie pod posesją Zakwasa. Przez chwilę wsłuchując się w gwar młodzieży przeplatany krótkimi marszami orkiestry dętej - marzył o sile swej gospodarki. Nostalgie tę przerwał mu starszy cerkiewny brat Smereka, wylaniający się z ulicy Zielonej, wołając:

- Ejże, Semeniuk! Nie stójcie, chodźcie, szkoda każdej chwili.

Wasył, porzucając najdroższe mu myśli, odrzekł:

- Właśnie czekałem na kogoś, by razem tam zejść, bowiem samemu jakoś nieporęcznie.

Festyn odbywał się na zapleczu gospodarstwa. Na solidnie zamiecionej ziemi, w pobliżu rozłożystego włoskiego orzecha, stały stoły uginające się pod przedmiotami przeznaczonymi na fantową loterię. Znajdowały się tam przeróżne fajansowe i porcelanowe gamuszki, kolorowe szklanki, lalki, wina w wybrzuszonych i wysokich flaszkiach, klatki z królikami i ptactwem, a nawet koza z numerkiem u szyi stała uwiązana do słupka, patrząc żałośnie w rozbawiony i rozśpiewany tłum. Na dworze doskwierał okrutny żar słońca. Toteż obsługa tak zwanej pipy piwnej oraz przy gazowanej wodzie z sokiem miała pełną robotę. Młodzież i starszyzna, chłodząc się, popijali nad umiar. Semeniuk tymczasem stojąc w cieniu orzecha, upatrywał przybycia księdza parocha. Zobaczywszy go dziewczęta obsługujące rzeszotę losów loterii fantowej wnet zaproponowały kupno kilku numerów, zachwalały przy tym wartość ewentualnie wygranych przedmiotów, ujawniając jednocześnie cel wysprzedaży ofiarowanych losów. Skusił się Semeniuk, wybierając za jednym razem dziesięć okrągłych rolek.

-Niegdyś wygrywałem, czemu teraz miałoby mnie szczęście opuścić - powiedział rozwijając kolejno wykupione za jedną złotówkę losy. Tym razem szczęście mu nie dopisało; spośród wyciągniętych z rzeszota lewą ręką rolek - wszystkie okazały się puste. Zgrzytnąwszy zębami odszedł, żalując ogromnie, że niepotrzebnie stracił złotówkę. "Byłoby to na przykład kilogram cukru" - myślał.

Z południa już było, gdy na podwórzu ukazał się pojazd księdza parocha. Prawie zniesiono z bryczki dostojnego gościa, prowadząc go do

czworoboku stołów na specjalnie przygotowane miejsce. W miarę pobożności i gospodarskiego zasobu obok duchownego ojca przysiadła się starszyzna. Pierwszeństwo dzisiaj przypadło Zakwasowi, przy nim siedzieli: Biłyj z synem dorosłym, dwóch Bojków i Danyła Prystupa. Do tak ekskluzywnego otoczenia dotarł też stary Semeniuk. Otrzymał przyzwolenie na zajęcie obok miejsca, poczuł się wniebowzięty. Czekał chwili, kiedy ksiądz paroch zapyta go o gospodarkę. Chwila taka tego dnia nie nadeszła. Ksiądz paroch, tłumacząc się czekającą go nazajutrz hierarchiczną wizytą, skromny był w korzystaniu z posiłków i picia specjalnie przygotowanych trunków. W rozmowie też skracał się do minimum, a tuż przed północą, dziękując starszyźnie za zgotowane mu przyjęcie, zaprzęgiem w karetce dwoma siwkami opuścił miejsce zabawy.

- Nareszcie - pomyślał Semeniuk, strzelając oczami po niedopitych kielichach wiśniaku, napęczniałych kanapkach nadziejących kiełbasą z przekładanym ogórkiem. Tyle się tego mamuje aż żal - mrucał. Wracając do domu, zatęsknił za kawałkiem razowca z przyłożoną słoniną spod strzechy i ząbkami młodego czosnku. Grubo po północy dotarł do swojego domu. Kuchnia i zachowane świeciły pustką.

- Tekla! Tekla! - wołał zapalając naftową lampę. Ech czort by jej matir skołow, nie ma jej w domu, niedługo nogi wyciągnę od jej wikt - mruknął. Poszukując czegoś do jedzenia, znalazł pod ławą ziemniaki ugotowane dla świń, kilka z nich obrał z łupiny, posypał solą i zjadł niczym najlepsze marcepany. Odsapnąwszy, zamierzał przespać się na ławie, gdy nagle na dworze usłyszał stłumiony głos Tekli.

- A to tak ładaczniczo - zaraz ci ulę - pomyślał chwytając spod popielnika żelazny haczyk. Nasłuchując skradał się w kierunku czeremchy okolonej krzakami agrestów i porzeczek. Znalazłszy się tuż przed gęstwiną zieleni, zakrzyknął nagle:

- Ach ty suko! Czy ci nie wstyd tłuc się po rowach? Kochania ci się zachciewa? Zaczekaj, zaraz cię pomiluję - dodał rzucając z całej siły w kierunku zarośli żelaznym pogrzebaczem. Kochankowie tymczasem, słysząc zbliżającego się gospodarza, umknęli z miejsca nocnej igraszki, nie dając mu możliwości uzyskania zamierzonej satysfakcji. Zastanawiając się chwilę, Wasył zrozumiał, że niepotrzebnie mamuje resztę nocy - położył się zatem do łóżka z myślą, że nazajutrz z Teklą rozliczy się, jak trzeba.

Obudziły go piana porannych kogutów i lechcący - ostry zapach zbożowej kawy. Schodząc z pościeli, ujrzał na stole w dwóch garnkach dymiącą kawę, bochen chleba czarnego z kminkiem oraz oseekę masła na listku kapusty przykrytą gałązką świeżo uszczkniętej pietruszki.

- Dzień dobry, gospodarzu! Śniadanie na stole - zawołała najmitka wchodząc z nadworu do izby.

- Dzień dobry - mruknął Semeniuk - zabierając się łakomie do rzadko kiedy tak przygotowanego jedzenia.

- A gdzieś to była dzisiejszej nocy? - zapytał po wypiciu dwóch gamuszków kawy i zjedzeniu kilku pająd smarowanego chleba.

- Dzisiejszej nocy? - udając zdumienie zapytała w odwet. Gdzie miałam być jak nie w oborze, krowy pilnując, gdyż z wieczora już postękiwała. Bałam się, że z nią co złego, to i przesiedziałam koło niej calusieńką noc - dodała.

- Wołałem cię przecież! - wrzasnął tym razem Wasyl.

- Pewnie zdrzemnęłam się na chwilę - kłamała.

Semeniuk, nie pytając więcej o nic, porwał czapkę i czym prędzej wybiegł do obory. Stanąwszy w progu stwierdził, że istotnie młodsza czamula inaczej jak zwykle oddycha.

- Bidulka moja - podchodząc bliżej powiedział - cierpiałś, bo mnie nie było w domu. To się więcej nie powtórzy, nigdy już nie zostawię was na pastwę losu, o nie, nie - głaszcząc czamulkę po szyi - przyrzekał.

Medunka, stojąc tuż za drzwiami, słyszał rzewną rozmowę gospodarza z ukochanym bydelkiem. Nie dziwił się temu, wiedząc, że Semeniuk ponad wszystko stawia i miłuje własne gospodarstwo. gotowy byłby poświęcić najbliższych z rodziny i krewnych dla ciągłego wzrostu swego gospodarstwa.

ROZDZIAŁ XIX

Po kilkutygodniowej przerwie na najbliższej cerkiewnej naradzie starszyny zdecydowano wybrać Komitet Budowy Pomnika ku czci wielkiego wieszczki Tarasa Szewczenki. Sfinansowanie budowy miało nastąpić z dobrowolnych składek okolicznej ruskiej ludności. Organizatorzy wspomnianego dzieła korzystali z wszelkich udogodnień i możliwości, by roboty w tym zakresie rozpocząć jak najprędzej. W istocie rzeczy tak się też stało. W ciągu sześciu miesięcy od dnia powołania komitetu na placu przyległym do cerkiewnej posesji stanął wspaniały posąg. Odkrycie i poświęcenie pomnika wyznaczono na jedną z jesiennych niedziel, zawiadamiając o tym wiemych okolicznych miasteczek i wsi. Toteż w wyznaczonym świątecznym dniu już od rana ulice miasta i przycerkiewny plac wypełniły się po brzegi.

Punktualnie o godzinie dwunastej przy akompaniamencie dzwonów i sojużnej kapeli dętej, w cerkiewnej bramie ukazała się procesja prowadzona przez idącego pod baldachimem w asyście starszyny księdza parocha. Nabożny pochód, okrążał trzykrotnie plac przycerkiewny i śródmięscia, śpiewając stosowne modlitwy, w końcowej fazie uproszono księdza parocha, by ten dokonał poświęcenia świeżo zbudowanego dzieła i uwieńczył tę uroczystość okolicznościowym przemówieniem.

Pod wieczór po trzykrotnym wzniesieniu przez starszyny okrzyku: hura! hura! hura! na placu owianym kadzidłami i skropionym święconą wodą pozostał samotnie stojący pomnik, czyniąc obok żydowskich budek handlowych zdumiewający podziw.

Ciesząc się wielkością sprawy, ksiądz Martyluk zaprosił na plebanie ważniejszą starszyny, by biesiadując wśród wiemych utrwalić niezwykłą uroczystość. Do późnej nocy krążyły kielichy, nie żalowano pochwalnych słów, techcących bujną duszę parocha. Nad ranem układaniem przez służbę do łóżek ojca duchownego i słabowitszych gości zakończono wczorajszą paradę. Wśród wielebnych i pobożnych braci nie było Semeniuka, bowiem ten, pamiętając następstwa Zakwasowego festynu, przysiągł sobie i bydelku, że nigdy więcej nie powtórzy się bezmyślnie stracony dzień. Ostatnio, jak mało kiedy przedtem, począł szanować ustanowione przez państwo i magistrat prawa. I wartę wedle kolejności począł pełnić, i rowy przydrożne czyścił obok własnej posesji, nawet pochylone płoty i pauzy na dachach na

bieżąc poprawiał. Słowem na obejściu pojawił się gospodarz w nowym wcieleniu. Wieczorami przesiadując na przyzbie, wsłuchiwał się w chóralny śpiew sadowskiej młodzieży i szczebiot ptaków szukających nocnego koczowiska. Niekiedy godzinami wpatrywał się w zamglony księżyc, czytając w nim wyroki boskie. Nieraz włócząc oczami po gwieździstym niebie, wspominał Anastazję, jej dobroduszość, gospodarność i miłowanie.

- Boże, świeć nad jej duszą - szeptał, widząc ślizgającą się w przestworzach którąś z gwiazd.

Któregoś dnia przyniesiony został od sąsiada brzostowy kij nadziany od góry miedzianą obrączką, co stanowiło, że w najbliższą noc zgodnie z kolejnością, gospodarz lub delegowany przez niego osobnik, powinien pełnić w oznaczonym rejonie Sadów wartę.

- Pójdę sam - pomyślał Semeniuk. Toteż po wieczornym obejrzeniu inwentarza z tradycyjną pałką pod pachą ruszył w wyznaczone ulice. Nad okolicą poczęła rozciągać się gęsta mgła, utrudniając wartownikom niezbędną widoczność chronionego mienia. Ponadto jak mało kiedy o tej porze roku noc była nader chłodna. Czując się przemęczony i zmarznięty całonocnym chodzeniem, Wasyl postanowił przysiąc na murku za Zatorzem, po czym zejść ze służby, tym bardziej, że od wschodu z wolna wylaniał się pierwszy świt wschodzącego dnia. Za ledwie na poręczu zdążył wyprostować zmęczone nogi, gdy od strony miasta usłyszał szybki tupot czyichś obutych podkówką nóg. Co za licho? Umarlak nie poświęcony, czy inny diabeł? - pomyślał. Tymczasem odgłos kroków zbliżał się coraz bardziej, aż nagle z siwej mgły wyłonił się cień człowieka. Semeniuk, wybaluszywszy oczy, rozpoznał Kuczerawego, etatowego pracownika magistratu, zatrudnionego przy pilnowaniu obiektów państwowych i budek żydowskich.

- Ejże! Sąsiedzie! Co wam tak śpieszno? Zaczekajcie, mnie też tamtędy droga - zawołał Wasyl.

Kuczerawy, nie zwalniając kroku, zakrzyknął:

- Jeśli wam życie miłe, uciekajcie, tam mordują.

Semeniuk, przestraszywszy się na dobre, chwycił za wartowniczy kostur i ruszył za pędzącym pod górkę osobnikiem. Dorównując mu w chodzie, słuchał jednocześnie zatrważających relacji.

- Z wieczora było spokojnie - ciągnął tamten. Nawet dziwiła mnie ta rzadko spotykana w mieście cisza - dopiero razem z narastającą mgłą w słabo oświetlonych uliczkach wszczął się podejrzany ruch. Przykucnąłem za Rosi domem, a tu jak na zawołanie w każdej bramie zjawili się po kilku ludzi. Mimo mizernego światła spostrzegłem na ich

twarzach maski. Pomyślałem, że jakaś banda zamierza obrabować sklep kooperatywy, więc chyłkiem pod murami karmelickiego kościoła pośpieszyłem dać znać na posterunek policji, znajdujący się po drugiej stronie ulicy za magistratem. Nie uczyniłem i dziesięć kroków, gdy nagle czyjeś łapy oplotły mi szyję, nakładając mi jednocześnie na głowę wiadro z resztką śmierdzącego tenu. - Zmykaj, pókiś cały - rzekł ktoś skrzeczącym głosem, a nie wrzeszcz, bo ci majchrem gardziółko poderżnę - dodał, po czym pchnięto mnie do przodu. Nie czekając na żadną pomoc, popędziłem w nadanym kierunku, gdzie spotkałem was.

- Co to za ludzie byli? - zapytał zadyszany Wasyl.

- Ażebym to wiedział - odrzekł tamten, po czym jak kosą ścięci runęli na ziemię obaleni silnym podmuchem powietrza z towarzyszącym mu przeraźliwie trzaskającym hukiem.

- Chryste! - wrzasnął Semeniuk, podnosząc się z ziemi wśród klekoczącego jeszcze po Sadach złowieszczonego echa.

- A nie mówiłem, że się coś złego święci - zobaczcie, jaki słup ognia nad miastem - mruknął Kuczerawy.

Niebawem jak na zawołanie ulice Sadów zapelnily się ludźmi pytającymi jedni drugich o niebywale zjawisko. Co pobożniejsze gospodynie, szepcząc poranne modlitwy, postanowiły w tym dniu zebrać odpowiednią ilość grosza i złożyć go w kościele i cerkwi na odprawienie specjalnych nabożeństw. Tymczasem Semeniuk z Kuczerawym nie zwlekając śpieszyli obok dworku Sobotowicza, w dół nad potoki. Przed tak zwaną "brzozową ścianką" rozeszli się, każdy w innym kierunku.

Purpurowy krąg słońca wychodził zza hleszczawieckich pól, gdy Wasyl stanął na własnym podwórku.

- Słyszeliście, gospodarzu, że w mieście wysadzono w powietrze pomnik świeżo wybudowany ku czci Tarasa Szewczenki? - zawołała najmitka.

- O czym ty mówisz? - zapytał oszołomiony Semeniuk.

- Jak to, nie wiecie? Minami go ponoć zburzono. Została po nim jedynie szczypta gruzu, a szkieł na rynku tyle, że na wagon kolejowy by nie zabrał - dodała.

- A ty, Fediu, słyszałeś o tym? - zapytała zwracając się do nadchodzącego najmita.

Medunka, rozglądając się wokół - rzekł jakby od niechcenia:

- To polityka, a na tej się nie znam.

W pierwszą niedzielę po niezwykłym wydarzeniu ksiądz paroch korzystając z ambony, do lez wzruszył wiernych swoim przemówieniem na temat zburzonego, jak nazwał "pomnika świętości". Po czym

dobierając niecodziennych słów, zachęcał wiernych do nowej zbiórki pieniężnej na nowy pomnik wieszczka, obiecując ochoczym duszom odpowiednią ilość dni odpustu. Słowa księdza parocha nie poszły na marne. W przeciągu następnych kilku miesięcy stanął nowy pomnik poświęcony pamięci Tarasa Szewczenki, a że w czasie projektowania postanowiono zbudować to dzieło okazalsze i piękniejsze, postawiono go na placu cerkiewnym tuż za bramą wjazdową. Przy nie mniej bogatej od poprzedniej ceremonii dokonano poświęcenia, uznając jednocześnie, że od dnia paradnego pomnik ten będzie chroniony przez specjalnie opłaconą służbę. Starszyzna, nie zapominając o wyróżnionych datkach i usługach wiernych, na wystawnych miejscach uwidoczniła drukami ich nazwiska, co w efekcie tworzyło umacnianie się więzi ludu ukraińskiego z cerkwią, a szczególnie z jej dostojnikami.

Ogólnie notowano, że rok ówczesny dla braci cerkiewnych był mocno ekscytujący w pobudzaniu różnych form życia polityczno-gospodarczego i gdyby nie szerzące się w okolicy choroby, jak tyfus czy szkarlatyna oraz gęsto nękające pożary budynków gospodarczych, rok ten uchodziłby za cudowny. Niestety po chwilach dobrej nadziei sadowian i okolicę począł ogarniać strach przed niepewnością jutra. Toteż pod domami różnego pokroju wróżek i chiromantów tworzyły się kolejki ludzi wierzących, że za chwilę osiągną tu najprawdziwszą wiedzę o swoim jutrzejszym życiowym losie.

Między innymi któregoś dnia wybrał się do domu Fiszera, (bo tam wówczas rezydował jeden z chiromantów) Pałynycia - nowy wartownik obiektów cerkiewnych i pomnika. Stojąc w kolejce, kilkakrotnie chciał ją opuścić, ściskając w kieszeni złotówkę, gdy jednak przed oczami stanęły mu nawiedzające go ostatnio okrutnie krzywdzące kłopoty, a to proces o miedzę przegrany z sąsiadem, a to choroba syna, to znowu prześkakując rów, obłamała obydwie nogi jałówka, którą przyszło mu dorżnąć - odżałował złotówkę, doczekawszy się swojej kolejki, wszedł do wnętrza. Po około dwudziestominutowym pobycie obsłużony przez mistrza wiedzy tajemnej znalazł się z powrotem na zewnątrz pod oknami budynku.

- I co, prawdę mówi? - obstępując go wokół zapytały ciekawe kumoski.

- O tak, idźcie, zobaczycie, jedna dniówka magistracka z głowy - odrzekł oddalając się szybkim krokiem w kierunku "ścianek". Idąc rozmyślał:

- Co też chiromant miał na uwadze mówiąc, że niebawem czeka mnie duży, nieprzyjemny kłopot. Ponadto radził wystrzegać się złych ludzi o czarnej kamacji. Może miał rację, a chociażby Figiel co to o

miedzę prawował się ze mną przez trzy roki - przecież utopiłby mnie w łyżce wody. Przy tego rodzaju rozmyślaniach dotarł do własnej chaty, a że w nocy czekała go służba przy pilnowaniu pomnika i cerkiewnego dziedzińca, postanowił się przespać. Pod wieczór, jak zwykle, jawił się na plebanii, oznajmiając o swej zdolności do pełnienia całonocnej warty.

Zapowiadała się niepewna pogoda. Od zachodu wylał się wiał szarych, deszczowych chmur. Przedsmak zbliżającej się burzy wskazywał wiatr spędzający z ulic kurz i śmiecie, a tu i ówdzie z lotnej chmurki poczęły ulatywać grube krople deszczu, za chwilę potem jakby się niebiosa otworzyły, na ziemię lunęła szeroką lawą woda.

Pałynycia, kryjąc się pod okap cerkiewnego budynku, obserwował stąd burzę i powierzony mu obiekt. Na szczęście niebawem wzmaganie niebiańskie przycichły, toteż nasz wartownik, wpatrując się nadal wzdłuż i wszerz w objętą służbą przestrzeń, ruszył w obchód wokół dziedzińca. Gdy szedł tuż przy murze, nagle na głowę spadła mu płachta cuchnąca strzelniczym prochem. Chciał krzyknąć, lecz stojący nad nim osobnik wyrzekł przyciszonym głosem: - Ani słowa, bo ci łebek ukręcę. Chusteczki, którą okręciłem ci główkę, też nie zdejmuj i ruszaj do przodu.

Pałynycia przejęty strachem, niczym pies na smyczy szedł potulnie we wskazanym kierunku.

- "Czyżby ołtarze cerkiewne grabić chcieli?" - rozmyślał stawiając ostrożnie nogi na coraz to innej uliczce. Znajac dokładnie miasto, skonstatował, że prowadzony jest w stronę wsi Plebanówka.

- Pewnie w pole mnie wiodą, a tam bądź zdrów życie, zabijają po wszystkim. Przyszły mu na myśl słowa chiromanta napominające, aby za wszelką cenę strzegł się złych ludzi.

- W jakiż to sposób można było na przykład dzisiaj ustrzec się od nich - mruknął mimo woli.

- Co tam kraczesz, dumiu? - zawołał prowadzący go osobnik.

Na wysokości wolickiej szosy kazano mu skręcić w prawo.

- "Widocznie pędzą mnie nad rzekę - zapewne utopić, żeby śladu nie zostało" - rozmyślał.

Nad brzegiem Gniezny prowadzący napastnik zawołał: - Właź do wody, boś brudny. Idź prosto przed siebie, osuszysz się na tamtym brzegu - dodał popychając go ku rzece.

Pałynycia począł modlić się gorąco, polecając niebu swą duszę, kiedy pod nogami poczuł szorstkie liście szuwaru. Nagle zachwiał się pod nim rozmiękły grunt i jednocześnie rozległ się ogłuszający huk, przypominający tysiące gromów wałących w ziemię, odbijających się przeraźliwym echem o rozległe planty i monaster stojący samotnie w

lesie nad Seretem. Zdrętwiały z przerażenia i zimna wartownik rzucony podmuchem na dno sitowia wodnego mimowoli zerwał z głowy cuchnącą szmatę zrywając się jednocześnie nad lustro rzeki. Wokół nie było żywej duszy.

- "Chyba wiem, co się stało" - pomyślał wchodząc na wysepkę rozciągającą się wzdłuż rozwidlonej w tym miejscu rzeki. Chcąc dostać się na drugi brzeg Gniezny, należało z powrotem wejść do wody. Tak też uczynił. Za chwilę, przeszedłszy parę zagonów uprawnego pola, zapukał do drzwi starego Demydy.

- Wszelki duch Pana Boga chwali - rzekła Demydowa zobaczywszy Pałynię całkowicie przemokniętego. - Czyście rzekę brali na wplaw czy jak? - zapytała.

- Wpuszczajcie do wnętrza, bo skonam z zimna - zawołał przybysz. Demyda posadziwszy go obok "gruby" ciepłej, kazał niezwłocznie zrzucić przemoknięte ubranie, w miejsce którego podrzucił mu swoje stare ale suche odzienie.

- Toście nie na służbie dzisiaj? - zapytał.

- Aby ich zaraza murowa wycisnęła - już po mojej pracy - odrzekł, po czym przez dłuższą chwilę relacjonował Demydom, jak i co przydarzyło mu się tej nocy. W trakcie chaotycznego opowiadania podano mu kożuch, którym owinąwszy się w kilka chwil potem usnął, nie słysząc tupotu rozbieganych tam i z powrotem ludzi chciwych coraz to nowych wiadomości dotyczących ponownego wysadzenia w powietrze nowo zbudowanego pomnika Tarasa Szewczenki.

ROZDZIAŁ XX

Któregoś wieczora, na plebanii cerkiewnej, starym zwyczajem zebrana starszyzna gorliwie zapoznawała się z aktualnym biuletynem dotyczącym powołania "Zakarpaciej Ukrainy", podejmując jednocześnie w tej mierze stosowną debatę. Biuletyn określał granice państwa, ustroił i nazwiska osób wchodzących w skład nowo powstającego rządu. Apelowano w nim do rodaków w całym świecie o czynne i niezwłoczne wspomaganie młodego państewka. Z biuletynu wynikało, że szczególną pomoc już od zaraz niosą im Niemcy hitlerowskie. Rada starszych, zapoznawszy się z całością sprawy, postanowiła na podległym sobie rejonie wprowadzić w życie szereg innowacji organizacyjnych zasilających już istniejące komórki, preferując: zbieranie funduszy na zakup broni lekkiej oraz przekazywanie ludzi młodych znających się na organizacji wojennej. Wszystko to miało się odbywać w wielkiej tajemnicy przed miejscowym wrogiem, a mianowicie przed Lachami.

W samej rzeczy działalność ta pod dowództwem księdza Martyluka nabierała coraz to większego rozmachu. Widziano w nim wyrocznie boską. Jedynie brat Smereka, jak zawsze rozważny i powściągliwy w podejmowaniu nie przemyślanych decyzji, wątpił, jak mówił, w wolę Hitlera, by ten chciał bezinteresownie przynieść Ukrainie wolność. Twierdził, że zachłanność junkrów niemieckich nie ma granic. To nie banał zmyślony przez Słowian, a święta prawda o niemieckiej chciwości, wyrażającej się w jednym zdaniu "Drang nach Osten".

- Nie chciałbym dożyć - mówił - katastrofy dziejowej i późniejszej hańby z tego powodu - perswadował coraz goręcej.

Zawziętym przeciwnikiem jego poglądów byli jak zwykle ksiądz paroch Martyluk i Mikieta Medwed. Toteż na jednym z zebrań poświęconym tej sprawie, ksiądz paroch, podrażniony wypowiedzią Smereki, wystąpił niczym dziki zwierz wołając roztargnionym głosem:

- Nie wolno nam zaprzepaścić ostatniej nadziei. Nadchodzi dzień, jakiego w dziejach naszego narodu nigdy nie było. Zbliża się kres naszej niewoli, a opatrnością boską dla nas jest nie kto inny jak Adolf Hitler.

- Nie wiercie - rzekł wskazując ręką na Smerekę, że Niemcy kiedykolwiek, działając podstępnie, zamierzają zagarnąć naszą ziemię. Znam Niemców nie mniej od innych i twierdzą - ciągnął, że naród to ambitny, honorowy i gospodarny. Ponadto przewodzi mu wiara w

prawdziwego Boga, w dowód czego spostrzegamy na każdym żołnierskim pasie niemieckiej armii napis: "Gott mit Uns".

W celu okazania swego oburzenia nazwał brata Smerekę niewiernym Tomaszem. Tego też wieczora brat Solowij, trzymający stronę Smereki, wzięwszy go pod ramię, opuścił zebraną starszyznę głośniejszym jak zawsze zamknięciem drzwi plebanii.

- Oto, jakich synów hodowała nasza matka ojczyzna - rzekł za wychodzącymi ksiądz paroch.

- Bodaj przepadli! - zawołał Mikieta. Wyjdę za nimi - dodał sięgając ręką za pazuchę. Nie, nie trzeba, oni nie zdradzą - rzekł duchowny przywódca.

Tym razem spotkanie starszyny trwało prawie do porannej gwiazdy. Nad Dębina rodził się nowy dzień. Rozbudzone ptactwo hałaśliwie ulatywało z noclegu na żer, kiedy cerkiewni bracia pojedynczo, ukradkiem opuszczali plebanię. Medwediowi do Hleszczawy wypadła droga przez Sady. Idąc, pragnął być nie zauważony. Niestety mimo tak wczesnej pory tu i tam słychać było tupot ludzkich nóg. Zdziwił się widząc wyłaniającego się zza zakrętu Sabalowicza studni Jankiela Podgórskiego.

- Co oko nie widzi, serce nie boli - pomyślał, kryjąc się za pierwszym pomnikiem któregoś z nieboszczyków.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże - mruknął patrząc za oddalającym się podrzędnym kupcem. Uch, parchi, niedługo już waszego bytowania na naszej ziemi, przepędzimy was razem z Lachami - szepnął wychodząc zza kamiennej osłony. Resztę drogi aż do wygonu przeszedł bez przeszkód. Tuż przed szkołą sadowską, rozglądając się wokół uważnie, wszedł na obejście Petra Stynki. Zgodnie z umową wczorajszą z gospodarzem, nie budząc go, dosiadł swego konia pozostawionego tu wieczorem i odjechał truchcikiem na "bose drogi" w kierunku Hleszczawy. Wpatrzony w bezkresne pola oblekane z wolna czerwienią wschodzącego słońca, w "Stawkach" dając karemu chwilę oddechu, zanucił prastarą pieśń czerwieńską, która ulatując w porannej rosie nad dolinami pełnymi kwieciami zniknęła w gęstych łożynach rosnących nad leniwie płynącym strumykiem. Chwilę potem uśmiechnięty na twarzy, wybierając dalszą drogę obok kamiennych krzyży pokutnych, obleczonych srebrzystą rosą, mimo woli budził ze snu porannego, kryjącą się pod wysokimi miedziami zwierzyńcę i ptactwo, czyniąc przy tym w przypadku kuropatw wiele niespodziewanego hałasu. Za gospodarstwem Krzywdzińskiego mimo woli spojrzawszy na bielejące wzdłuż wysoko wyrosniętych topoli boryczkowskie chatki, szepnął:

- O Hospody! Czemu nie ześlesz na tych przeklętych Lachów

jakiej zarazy? Potęgując w sobie nienawiść, czym prędzej począł się stąd oddalać, by za niedługą chwilę znaleźć się na polach rodzinnej wsi. Rozkoszując się pięknnością krajobrazu, tuż za pierwszą drożyną, obrośniętą dziką różą i jeżynami, na miedzy wśród falujących zbóż, spostrzegł inżyniera Berezę.

- Co wy tu o tej porze? - zapytał Medwed zeskakując z konia.

- Doradztwa potrzebujemy, pułkowniku - odrzekł Bereza.

- Jeśli trzeba, to chodźmy - rozglądając się za miejscem do uwiązania Karego odrzekł Medwed.

- Konia na ten czas potrzyma kolega - powiedział zorientowany w czym rzecz Bereza, oddając lejce w ręce dotąd leżącemu na podróżniku Mamalydze.

Po przebyciu niewiele ponad stu kroków Bereza szepnął półgłosem:

- Jesteśmy - i dodał: przypatrzcie się wylotowi bunkra.

- Gdzie on? - zapytał Mikieta.

- Tu - rzekł inżynier, naciskając jednocześnie występujący z ziemi granicznik. Obok rozległ się cichy zgrzyt, przypominający pracę pilnika, jednocześnie razem z rosnącym zbożem zaczęła się podnosić nieco podłużna pokrywa. Za chwilę we dwóch znaleźli się w podziemnym, ogromnie rozległym bunkrze. W trakcie konsultowania dotyczącego rozmieszczenia gniazd ogniowych Mikieta zachwycony postępem robót nie powstrzymał się od pochwały podziękowań w imieniu swoim, pułkownika Martyluka i wszystkich wiemych cerkwi.

- Porządny z was molojecz, wiedziała "góra", kogo przysłać do tej roboty - szepnął pojednawczo Medwed, wychodząc z bunkra.

- Tęgi chłop z tego Mikiety - odezwał się po chwili Mamalyga, patrząc za odjeżdżającym pułkowodcem.

- Mało powiedziane "tęgi" - to spryciarz nad spryciarze - odrzekł Bereza, wyciągając z ziemi ostro zakończony drut. Byle czym nie da się zbałamucić - dodał. Pamiętasz, co czynił, gdy niby samowolnie podebraliśmy mu dokumentację na ten bunkier? - ciągnął. My tu radu, radu, a czas nam do wsi - powiedział Bereza ruszając dróżką polną w kierunku Hleszczawy. Za nim podążał wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, przypominający siłacza lub zawadiakę, a nie nader spokojnego doradcę podziemnego budownictwa z tytułem technika.

- Co to dzisiaj jakieś święto? - zapytał Bereza zbliżając się do wsi. Mamalyga zwróciwszy oczy ku niebu, jakby tam mógł znaleźć właściwą odpowiedź, odrzekł po chwili: - Nie wiem!

- Spodziewałem się, że nie wiesz - odrzekł inżynier. Zajdę do Kłymczuka, ten będzie wiedział, gdyż całymi dniami bajdurzy z Hałamucem,

co to do kooperatywy towary wozi.

Przeszedłszy ostatnie półka ciągnące się za strzyżonymi wierzbami weszli do Kłymczuka tylną furtką.

- Co to za święto dzisiaj? Katolik jestem i na śmierć zapomniałem

- zapytał Bereza gospodarza krzątającego się po podwórku.

- To nie wiecie? - odrzekł tamten, rozglądając się wokół, dodał:

- Powstała Ukraina Zakarpacka.

- Pewne to, czy plotka? - zapytał ponownie.

- Jak jestem Kłymczuk, że to prawda. Wiem to od osoby słuchającej na bieżąco radiowych wiadomości - dodał.

- A to ci fanfaron z tego Mikiety, na pewno wiedział o tym, ale nie rzekł nam ani słowa. Czekaj, odwiedzimy ci się pięknym za nadobne - mruknął Bereza.

Podziękowawszy Kłymczukowi za radosną wiadomość, postanowili odwiedzić Medwedia z nadzieją, że dowiedzą się czegoś więcej. Chwilę potem na podwórku Mikiety pozbyli się wszelkich złudzeń. Gospodyni domu, żona pułkownika Medwedia, oświadczyła, że mąż jej przed kilkoma minutami, co koń wyskoczy, popędził w kierunku wsi Iwanówka.

Z przysłowiowym nosem na kwintę, żegnając gospodynię, udali się na kwaterę u Hryczuchy, gdzie będąc tymczasowo zameldowani, jako murarze poszukujący pracy, w tajemnicy wykonywali wzniosłe dla swego narodu zadanie.

- Widzi mi się, że trud nasz może stać się nieużyteczny - rzekł Bereza jakby sam do siebie.

- Nie rozumiem, dlaczego? - zapytał spokojnie jak zawsze Mamałyga.

- Wiele rzeczy nie rozumiesz; a słuchając przemówienia parocha, rozumiesz go? - odrzekł pytająco inżynier.

- Oczywiście wiele spraw nie rozumiem - odpowiedział tamten.

- Wiedz o tym, że jego wystąpienie to mocno zabarwiona faszystowska propaganda. Inaczej mówiąc, dla osiągnięcia zamierzonego celu gotów jest zawrzeć przymierze choćby z samym diabłem. Tylko słabo myślący człowiek może wierzyć w hitlerowskie obietnice. Nie wierzę, że Niemcy przy okazji wyzwolenia naszych ziem nie zechcą ich połknąć. Uważam, że gra księdza parocha Martyluka i jemu podobnych braci jest niezasadna i wręcz obłudna - dodał.

Było już z południa, gdy na iwanowskim gościńcu, wśród gęstej przyziemnej chmury ulicznego kurzu, wyłonił się jeździec.

- Medwed! Jak mamę kocham, że Medwed! - zakrzyknął Mamałyga.

- Idziemy! - podnosząc się z krzesła zawołał Bereza.

- Pułkowniku, my do was po raz drugi ze sprawą - zagaił Mamałyga, gdy Mikieta stanął na własnym obejściu.

- No i dobrze, pięknie to z waszej strony, że przy tak wielkim święcie odwiedzacie mnie dzisiaj po raz drugi - odrzekł pośpiesznie Medwed. Wreszcie zabłyśły pierwsze promienie naszej wolności - przed nami nowe - wielkie życie, panowie.

- Naścia, przynieś butelkę wiśniaku chrzczoną spirytusem - dodał.

- Dawaj, doniu, szybciej to szkło! - zakrzyknął gospodarz na żonę, stojącą w drzwiach izby z trzema kubkami fajansowymi i litrową butelką czerwieniejącego płynu.

- Próbujcie - rzekł do gości, nalewając każdemu po pełnym kubku ognistej nalewki.

W izbie wszczął się radosny i coraz to głośniejszy gwar. Szczególnie Mikieta, zachłystując się powstaniem "Zakarpackiej Ukrainy", już od teraz wygrażał się wywołaniem morza krwi wśród Lachów. Każdy następny kubek mocnego wiśniaku wzmagał w petlurowskim pułkowodcu fanatyczną, ślepą nienawiść do wszystkiego, co nie sprzyja jego wybujałej woli.

Bereza, wpatrzony w ołtarzyk święty, wiszący na frontowej ścianie, z wbudowaną, świecąca się stale lampką oliwną, oszczędzając się w nadmiernym wychylaniu dolewanych kubków słuchał w milczeniu wypowiedzi coraz bardziej pijanego gospodarza domu. W pewnym momencie Mikieta, przerywając swe niedorzeczne paplanie, wrzasnął: - Widzę, że was to nie cieszy!

- Jak to nie cieszy, chociaż chwilami wątpię w posłannictwo Hitlera, bo kto nam zaręczy za to, co w jego dalekosiężnych planach się rodzi - odrzekł Bereza, odstawiając na stół nie dopity kubek.

- Ach, to tak - zakrzyknął Medwed. - Aby was piorun trzasnął - dodał belkocząc, po czym chwyciwszy butelkę, cisnął nią z całej siły w kierunku Berezy. I gdyby nie Mamałyga, który niczym kot uchwycił w locie gwizdzące naczynie, stałoby się nieszczęście.

- Inżynierze, byłby z was nieboszczyk, gdybym nie pojmał tego szklanego świństwa - mruknął.

Rozsierdzony nieudanym atakiem Mikieta wpadł ponownie na Berezę, tym razem z długim, masarskim nożem, leżącym akurat na stole. Nie zdążył jednak sięgnąć piersi inżyniera, bowiem i tym razem Mamałyga błyskawicznym ruchem udaremnił uderzenie, wykręcając rękę pijanego bohatera do tyłu.

- Na dwór z nimi - huknął Bereza. Przez następną chwilę asystował Mamałydze, wynosząc zmordowanego gorzałką i złością Medwedia pod

psią budę.

-Ratujcie, mordują! -wybiegając na obejście wołała Medwediowa.

-Nie róbcie hałasu, gospodyni, nic mu nie będzie. Za dużo wrażeń doznał przy dzisiejszym święcie. Na dworze, w chłodzie prędeży wytrzeźwieje, dajcie mu spokój chociażby do wieczora -rzekł powolnym głosem Mamałyga.

Tymczasem duży, szary wilczur zdjęty litością począł lizać twarz swego pana, mrużąc złośliwie w stronę napastników, a że obroża i łańcuch nie pozwalały psu harcować po całym podwórzu, toteż nieproszeni goście bez obaw i pośpiechu opuścili dom zaprzyjaźnionego człowieka, przecierając usta po sutej nalewce z okazji tak istotnej uroczystości.

Chcąc uniknąć plotek, niebawem Medwed, obficie skropiony wodą, resztę święta z okazji wielkiego wydarzenia narodowego spędził spokojnie w stodole na słomie, gdzie litując się nad nim przeniosła go domaszna służba.

Nazajutrz średni syn Hryczuchy doręczył Mikiecie niecodzienne pismo zalakowane czerwonym kauczukiem, a że Mikieta gnany był ciekawością ciągle nowych wydarzeń w świecie, nie zwlekając przystąpił do czytania. Po chwili, zapoznawszy się z treścią drukowanego pisma, huknął sam do siebie:

-Cymbał! Dureń! Hajdamacka głupota! Co ja narobił wczorajszego dnia, wyprawiając tę nieszczęsną libację? Obraziłem tak przydatnych i porządných ludzi.

Chodząc po izbie, nie mógł sobie darować, że o tym przypadku, zaraz w dwie godziny potem dowiedział się ksiądz paroch Martyluk.

-Ktoś tu donosi -zastanawiał się, zachodząc w głowę. Nie wiedział bowiem, że duchowny przywódca istotnie ma swoje macki rozłożone precyzyjnie na całym podległym sobie rejonie.

Paroch, znając wielkoduszność i bezgraniczną uczciwość Medwedia do organizacji podziemnej i cerkwi, ostatni wybryk trunkowy z budowniczymi bunkra podziemnego bez namysłu puścił w niepamięć, zwracając mimo wszystko winowajcy uwagę na piśmie dostarczonym niezwłocznie. Zaniepokoił go natomiast ostatni biuletyn "Siczownika", obwieszczający niepowodzenia Wołoszyna - przywódcy "Zakarpackiej Ukrainy". Śledząc na bieżąco dniem i nocą przyczyny upadającego, niedawno powstałego państwa - między innymi zastanawiał się nad tezami głoszonymi w wysokim gremium cerkiewnych braci przez braci Smerekę i Solowija.

ROZDZIAŁ XXI

Jak mało kiedy, lato tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku było pogodne i ciepłe. Toteż okoliczne pola, ogrody i sady obrodziły obficie, zadowolając swych właścicieli. Starym zwyczajem już przy końcu żniw między ludnością Sadów i Łoszniowem odbyła się wymiana płodów rolnych. Sadowianie ofiarowali: dorodne, wczesne jabłka, grusze, głównie cukrówki, późniejsze czereśnie i wiśnie oraz wcześniejsze śliwy. Łoszniowscy w zamian dostarczali: cebulę, mąkę, mak i kaszę gryczaną. Wśród żniwno - handlowego, miłego dla tubylców zgielku, z dalekiego Wołynia do Michalskiej przybyli młodzi Semeniukowie. Janek zaraz nazajutrz, czując powinność rodzinną, z samego rana zapukał do wrót ojca. W furtce ukazała się najmitka. Usłyszawszy intencje młodego Semeniuka, pobiegła z nimi do gospodarza, by za chwilę, będąc z powrotem, powiedzieć, że gospodarz na swym obejściu nie chce widzieć dziadowskiego pomiotu. Janek, szanując ojcowskie nakazy, oddalił się z głębokim bólem, bez słowa skargi.

Całymi dniami przebywając u teściowej, pomagał w polu i zagrodzie, a szczególnie przy zbiorach ostatnich zbóż na kosę. Wieczorami przesiadując na przyzbie oblanej srebrnym blaskiem księżyca, zwykle opowiadał Frankowi o cudach przyrody wołyńskich lasów, wtrącając często zdania o pracy na kolei i Bazyłku, który tamtejsze strony uznał za domowe. Franek natomiast, zwierając się niekiedy z zamierzeń młodzieńczych, wspominał o Józji Krócińskiej, która, jak żadna dotąd, przypadła mu do serca. Janek, widząc w tej kwestii potrzebę, udzielał mu wielu rad i wskazówek. Michalska, podsłuchawszy wypowiedzi Janka, drżała ze strachu wiedząc, że gdyby zaślubił Krócińską, zostałaby jedynie z najmłodszą latoroślą. W czasie spokojnie i radośnie przebiegających dni, któregoś poranka skoro świt wpadła do Józefowej Pośmietiucha, zawiadamiając, że gospodarz zasłabł.

- Może po księdza trzeba - wtrąciła się nagle Józefowa.

- Wprzód zobaczę, co z nimi - odrzekł Janek, wdziękając na się robocze odzienie. Wy, Tekla, biegnijcie na skróty i konie zaprzęgajcie, po lekarza skoczę - dodał, zwracając się w stronę najmitki. Pośmietiucha, jak zawsze posłuszna, wykręciwszy się na pięcie zniknęła w sąsiednim sadzie.

- Bogaczowi do śmierci nie śpieszno, czego mam lecieć -

pomyślała zwalniając kroku. Po kilku chwilach, stanąwszy na swoim podwórku, udając zaniepokojenie, zawołała na Medunkę, by ten, nie zwlekając zaprzągnął konie i jechał po księdza.

- Spóźniłaś się, panienko, gospodarz przed chwilą skołał - odrzekł najmit.

W niespełna godzinę potem na podwórze wjechał młody Semeniuk z lekarzem; zobaczywszy martwego ojca, zaniemówił z wrażenia i żalu. Obejmując, to znowu głaszcząc twarz rodzica, wołał żalonym głosem:

- Ojczy! Ojczy! Ojczulku!

Tymczasem lekarz, wpytując służbę o przebieg choroby zmarłego, stwierdził gwałtowny skręt kiszek. Niebawem na prośbę Janka ciało nieboszczyka zgodnie z tradycją ułożono w izbie na przygotowanym katafalku. W trzecim dniu po zgonie urządzono pogrzeb, na którym mowę pożegnalną wygłosił osobiście ksiądz paroch, wyliczając przy tej okazji ważniejsze cnoty zmarłego, eksponując szczególnie wytrwałość, szczodrość oraz nader uczciwe i nabożne życie. Nazajutrz w Sadach co pobożniejsze sąsiadki, plotkując, zaklinały się, że nocą około dwunastej nad domem Semeniuków widziały podłużną, ognistą czerwień, wewnątrz której rechocząc laziło dwóch "nieczystych".

Rankiem tego dnia u Michalskiej zjawił się Medunka, prosząc o rozmowę z młodym Semeniukiem. Janek, nie dając na siebie czekać, niezwłocznie stanął przed olbrzymim osobnikiem. Medunka, uchyliwszy kaszkietu, rozpoczął bez wstępu: - Ojciec wasz umierając przekazał mnie do spełnienia ostatnią wolę.

- Jak to? - zapytał Janek gnany ciekawością.

- W chwili, kiedy Pośmietiucha pobiegła zawiadomić was o ojca chorobie - ciągnął Medunka - pomagałem mu, nacierając obolałe miejsca. W pewnej chwili, przestając jęczeć z bóleści, szepnął:

- Medunka, ja umieram. Powiedz parochowi, że majątek mój zapisuję na cerkiew. Zawołaj Teklę, niech i ona będzie świadkiem mojej woli. Wówczas wybiegłem i zawołałem wiedząc, że w tym czasie była u was lub w drodze. Gdy wróciłem, gospodarz wyzionął ducha.

- Dlaczego o tym mówicie mnie a nie parochowi - zapytał drżącym głosem Janek.

- Myślę w ogóle o tym nie mówić, bo i po co? Prawowitym spadkobiercą jesteście wy, Semeniuk. Chcę tu pracować i gdybyście się zgodzili, zacząłbym od nowa - rzekł basem Medunka.

- Nie, nie mogę zmieniać woli ojca. Może nieboszczyki źle uczynił, nie mnie jednak go sądzić - dodał Janek.

- Ach, Semeniuk, Semeniuk! - najmici też niekiedy mają swą

ambicję - odrzekł, po czym prostując swą długą postać, huknął straszliwym głosem:

- Niedoczekanie jego! Lepiej piekła podarować gospodarkę aniżeli oddać w ręce hieny. Żegnam was, Semeniuk, bywajcie zdrowi - rzekł kierując się ku bramie rozsierdzonej Medunka, znikając za moment w gęstwinie sadowskiej zieleni.

Zgodnie ze zwyczajem, ku pamięci zmarłego urządzono stypę, prosząc na to spotkanie co bliższych sąsiadów biorących udział w pogrzebie do domu Michalskiej. Zdziwiło to wielu sadowian, snuli domysły, że może nieboszczyk wyraził w tej sprawie konkretną wolę. Wielu natomiast, znając opieszałość najmitki Pośmietiuchy, akceptowało w cichości postępowanie młodego Semeniuka i Józefowej. Nikt jednak, oprócz Janka i nieobecnego na stypie Medunki, nie znał prawdziwej przyczyny. Jak zwykle po zakończonych modłach za spokój duszy Wasyla na stołach przed siedzącymi pojawiły się kielichy z siwuchą z obstawioną przygryzką tak zwanej zaprażki suto doprawionej ugotowaną w kostki drobną słoniną.

Do późnej nocy modląc się i pijąc, wspominano zmarłego. Dopiero krzyk wartowników nocnych zmusił uczestników tej smutnej biesiady do jej przerwania. Palilo się gospodarstwo nieboszczyków Semeniuków. Mówiono, że ogień, jak na komendę, objął wszystkie budynki naraz. Nawet stogi trzyletnie, oddalone od obejścia o dobrą staję, gorzały. Uwolnione z uwięzi bydło, konie, nierogacizna i drób biegając jak szalone po obejściu zamkniętym na wszystkie bramy, zabijało się wzajemnie.

Wprawdzie miejscowi i pobliscy sadowianie włożyli dużo wysiłku, ratując nie ogarnięty jeszcze ogniem dobytek, ponadto nad ranem z dużą pompą przybyła straż pożarna, niestety na istniejącym jeszcze wczoraj gospodarstwie zostało kilka wzgórków popiołu i iskrzących się jeszcze nie dopalonych drewnien.

Jeszcze nie ucichł groźny pomruk utajonego ognia, gdy daleko za wygonem ukazała się nowa, wysoko unosząca się chmura dymu Sadowianie w obawie przed rozprzestrzenianiem się pożaru czym prędzej śpieszyli w tamtą stronę, by stwieździć, czyje płody chłonie żywioł, a w miarę potrzeby i możliwości ratować swoje. Rychło rozbiegła się wieść, że płoną nieboszczyka Semeniuka zboża stojące jeszcze w piętnastkach. Dziwny to pożar - mówiono. Niedawno budynki gospodarcze i stogi spaliły się jednocześnie, podobny los spotkał ian piętnastek dorodnego zboża, zostawiając po sobie niziuteńkie, dymiące kopczyki ciemnosiwego popiołu. Wzmogły się przeto pogłoski, jakoby nieczysta dusza Wasyla, klucząc nad Sadami i okolicą, niesie nieszczęście za nieszczęściem.

Mimo uznania przez wielu sąsiadów, że Medunka w czasie pożaru zginął w stodole podczas snu, przezomiejści jednak w cichości o zbrodnię tę posądzali jego. Chcąc złemu zapobiec, słabsi i bogobojniejsi gospodarze po trzykroć razy święconą wodą kropili swe obejścia, nie omijając najdrobniejszych zakątków. Bogatsi natomiast, odżałowując drobnego grosza, zamawiali nabożeństwa żałobne, mające sadowianom przynieść ulgę, spokój, odwrócenie nieszczęść i cierpień.

Michalska, ganiąc zabobonne sadowian zapędy, nie podzielała ich uczuć i odrazy do obojga zmarłych Semeniuków i Medunki. Poza tym, widząc obojętność Janka w stosunku do swej ojcowizny, któregoś dnia zapytała, co zamierza z nią czynić. W odpowiedzi Janek, prosząc o niepuszczanie w obieg tego co powie, zdradził tajemnicę, że ojciec umierając gospodarkę całą zapisał na cerkiew, czego był świadkiem najmit Medunka, który woli ojca nie chciał przekazać księdzu parochowi.

-Przekazał ją osobiście mnie - dodał.

-Jeśli tak, to co innego, przeciwko takiej woli oponować nie można - rzekła Józefowa, wycierając fartuszkami spadające na policzki rzęsiste łzy.

Nazajutrz młodzi Semeniukowie, pełni smutku i żalu, tym razem z jakimś dziwnym uczuciem, wyjeżdżając na Wołyń do pracy, żegnali rodzinne strony.

ROZDZIAŁ XXII

Michalskiej Franek, zadurzywszy się na dobre w Józję Krócińskiej, prawie każdego wieczoru bywał u niej na zagrodzie, przesiadując z nią na ławeczce pod ogromniastym orzechem włoskim. Bywało, że większość czasu poświęcali niewinnym pieszczotom, bywało też, że oprócz kilku wzajemnych pocałunków pozostałą część nocy poświęcali relacjom z przebitego dnia pracy przy żniwach. Z chęcią wspominało szwagrze Janku, wychwalając go za zdane kursy kolejowe na stanowisko torowego, za jego uczciwość i dobroć w stosunku do Janki i małego Bazyłka. Któregoś z kolei wieczoru, wsłuchani w rechot żab znad brzegów odległej stąd Gniezny i śpiew Korolusznej młodzieży, stracili rachubę czasu. Niekiedy jednak Franek, patrząc na gwiazdzone niebo, trafnie określał uciekające godziny tej to nocy. Oddając się tkliwie rozkosznym uczuciom, nad ranem usłyszeli głos bębna, a za chwilę głos kościelnego dzwonu.

- Pewnie coś płonie - rzekł półgłosem Franek.

- Nie widać tyny - patrząc dokoła odparła Józja.

Tymczasem na ulicy w rozlegającym się tumultcie dominował tubalny głos:

- Mobilizacja! Mobilizacja!

- Co to znaczy - zapytała rozdygotana dziewczyna.

- Wojna - odrzekł Franek.

- O Jezusie! To cię zabiorą - zawołała, wycierając piąstkami łzy.

- Jeśli wojna, to i zabiorą - odparł całując jej kształtną główkę, po czym pożegnawszy się, pobiegł co sił w nogach w kierunku domu.

W tym czasie Michalscy, obudzeni głosem bębna i dzwonów, wylegli na dwór, wypytując rozbieganych ludzi o przyczynę niezwykłego alarmu. W odpowiedzi, jakby na odczepne, wołano: Wojna! Wojna!

Niebawem ze stacji kolejowej ruszył pierwszy pociąg rezerwy wojskowej z okrzykiem na ustach: Pokażemy Hitlerowi, gdzie raki zimują i za dwa tygodnie będziemy w domu. Pierwsze godziny wojny przeszły pod znakiem dobrej nadziei. Wkrótce jednak zaraz po niedługim tygodniu nastąpiły dni udręki. W domach i kościołach zanoszono ku niebu modły, upraszając Boga o szczęśliwy koniec wojny i powrót do domu pobranych na front synów, braci i krewnych.

W kilka dni potem przez Sady przemknęła odrażająca wiadomość,

że oto Fedio Pelechaty zginął w walkach o Warszawę, że Hołowatyj padł pod Częstochową, a wielu innych, mniej znanych miało zginąć w bojach na Pomorzu. Ponadto kilkakrotne bombardowanie przez Niemców Trembowli, podczas którego został między innymi zabity Władek Krukowski i Józef Wowczuk, wzbudziło wśród ludzi panikę. Dopiero trzeci tydzień wojny wyjaśnił nieco frontową sytuację. Do domu wrócił zdrowi cały Fedio Pelechaty, a którejs nocy potem wrócił Hołowatyj w damskim stroju przysięgając, że jednostka wojskowa, w której służył, rozpierzchła się daleko przed frontem. Dowiedziawszy się, że za ich dusze zostały odprawione msze żałobne, obaj złożyli następane datki pieniężne w domu Bożym, tym razem za szczęśliwy powrót i zdrowie.

Tymczasem szosą zaleszczycką, w kierunku Rumunii dniem i nocą jechały w zorganizowanym bezładzie wojskowe i cywilne wozy. Co światlejsi sadowianie, domyślając się wojennej katastrofy, mimo to ciągle oczekiwali jakiejś odmienności. Może wreszcie ruszy z atakiem Francja i Anglia, a może Ruscy przyjdą z pomocą - myślano. Łudzono się jeszcze, gdy w Warszawie obustronnie grały armaty. Wiarę w zwycięstwo odebrał dopiero zdradziecki najazd na Polskę bolszewickich wojsk.

W pierwszych dniach października, nieprzyjemną, deszczową szarugą wrócił z wojny Michał Trzaska, zięć Józefowej, mąż Juli. Domaszni, zobaczywszy go, pomyśleli, że to zjawą, bo to nie dawniej jak w ubiegłą niedzielę, uznając go za zabitego nad rzeką Bzurą, postanowiono odprawić w tutejszym kościele żałobne modły. W tym przekonaniu utwierdzało ich obdarte, wiszące na nim cywilne ubranie. Za moment jednak widząc, że to nikt inny tylko wymizerowany do niepoznania mąż i zięć, zakrzyknęli radośnie:

- Michał! Wróciłeś! Wróciłeś!

Ściskając się po kolei przy gęsto ronionych łzach wypytywano go o pobranych na wojnę i dotąd nie przybyłych do domu sadowian.

- Co to za szmaty masz na sobie? - zapytał Franek cudem prawie nie powołany papierkiem mobilizacyjnym na front.

- Co tam łachy, Bogu dziękować, że z życiem uszedłem. Wokół w południowo - wschodnich województwach grasuje pełno ukraińskich band. Bez żadnych skrupułów napadają na polskich żołnierzy, wracających pojedynczo lub w małych grupkach do domu. Odbierają broń, ubrania łącznie z bielizną i łaskę czynią, dając w zamian takie oto łachy obdarte, a niekiedy dla śmiechu każą się ubierać w kobiece stroje - odpowiedział z goryczą.

Tymczasem nad chmurami rozległ się głuchy szum motorów.

- Pewnie Szwaby - rzekł Trzaska.

- Gdzie tam, to nie jest warkot samolotów niemieckich, to Ruscy objęli swe panowanie nad naszym niebem - wyjaśniał Franek - przecież wkroczyli tu już w drugiej połowie ubiegłego miesiąca.

- Boże, Boże, co teraz z nami będzie? - tuląc się do męża zapytała Julka.

- Trudno, takiego naporu z dwóch stron i wewnętrznego ze strony ukraińskich nacjonalistów państwo by nie wytrzymało - odrzekł. Myślę jednak, że nie taki diabeł straszny, jak go malują, to jeszcze przecież nie koniec wojny - dodał - wsłuchując się w szum kolumny samochodów wojennych, różnego kalibru amiat, tankietek i czołgów ciągnących szosą skałacką w kierunku miasta.

- Dziwne to - odezwała się Józefowa - mówiono, że bolszewicy to dzicz, że niczym nie różnią się od bandy rabusiów i morderców, że u siebie w Rosji kryminałem i głodem wymorzyli setki tysięcy ludzi: skąd jednak tyle dorodnej żołnierskiej młodzieży? - zapytała.

- Nie znam się na ich polityce - odezwał się Michał - wiem tylko, że nas Polaków cackać nie będą. Zresztą zobaczymy, przecież to jeszcze nie koniec wojny - dodał.

Tego ranka skoro świt na Michalskiej obejściu zjawił się Świrski, pochwaliwszy Boga, koniecznie chciał widzieć Michała. Kiedy tamten ukazał się na podwórku, Świrski złożywszy ręce jak do modlitwy, huknął starym zwyczajem:

- Bywaj druhu! Co oni z ciebie zrobili? Wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Coś niebywałego - ciągnął. Kto to słyszał kiedy, żeby w trzy tygodnie wojnę przegrać. Dawniej po kilka lat toczyły się boje, zanim ruszono nieprzyjaciela z miejsca i to czasem ze zmiennym skutkiem. Zdaje mi się, Michał, że to nie taki będzie koniec wojny. Jeszcze raz złapiemy się za tby i wtenczas albo umrzemy znowu, na co nie dopuść Boże na długie lata, albo będziemy jako naród żyć zgodnie i wiecznie. Nasi umknęli przez Rumunię i Węgry do Francji, aby łącząc się z nimi porządnie wygarbować Niemcom skórę, a przy okazji i naszym wschodnim zaborcom - rzekł prawie szeptem i dodał: Czy słyszeliście, że Kiryłoś wrócił z więzienia, ponoć wypuścili go Ruscy?

- Mówili, że umarł - odezwała się Michalska.

- Ależ skąd, żyje, widziałem go osobiście - odezwał się Świrski - posiwił i postarzał się, biedak. Głos mu się zmienił, a przy tym stał się małowówny - słowem nie ten człowiek, którego znaleźmy niegdyś wszyscy. Podobno Kiryłoś nie zdążył, wróciwszy z więzienia, przywitać się z rodziną, gdy do mieszkania przyłazł Zakwas wypytując bezceremonialnie, jakim cudem został zwolniony z więzienia, mając za

sobą wyrok polityczny. Kiryłoś umęczony przebyciem więziennych dróg, zbył go mało znaczącą odpowiedzią, co widząc Zakwas rozsierdził się bardzo, wciskając znękanemu długim cierpieniem człowiekowi słowa, że przez takich jak Kiryłoś nie doszło w obecnej wojnie do powstania Ukrainy, o którą modlił się z całą rzeszą wiernych ksiądz paroch Martyluk.

-Widocznie modły parocha nie skusiły Hitlera - odrzekł chichocząc Michał.

- Wszystko, co powiedziałem o Kiryłosiu i Zakwasie usłyszałem w zaufaniu od szwagra Kirylosia, mówiąc nawiasem, mojego dobrego przyjaciela od lat - dodał na zakończenie Świrski, udając się za chwilę bocznymi ścieżkami w kierunku miasta.

Wracając do sprawy powrotu Kirylosia do domu, istotnie nie było mu dane odpocząć, bowiem co chwila zjawiali się jego dawni przyjaciele i znajomi, nagabując go o wiadomości z dużego świata. Nawet Zakwas, przeprosiwszy za nietakt, stał się stałym bywalcem, słuchając przeróżnych spraw składnie opowiadanych przez zmizerowanego sąsiada.

-Wiecie, co myślę - rzekł któregoś dnia Kiryłoś - myślę, że dobrze się stało, że wkroczyli tu Rusczy. Nauczą swego porządku. Odcują nacjonalnego różnicowania ludzi, przy tym mowy i koloru ludzkiej skóry. Wierzę też, że ustrój czyli ten system rządzenia daleki będzie od prowadzenia wojen i gromadzenia przez jednostki ludzkie wielkiego bogactwa. Serce się kraje - mawiał nieraz, mając na uwadze, że człowiek zabija świadomie drugiego człowieka, widząc w tym interes wzbogacenia się. Gdzież tu prawda, gdzie tu przykazania boskie?

- Wyobraźcie sobie, Zakwas - rzekł, pouczając sąsiadów, że w okolicy zjawia się ktoś z myślą wyrządzenia wam krzywdy. W swej obronie przeciw niemu wysyłacie swych najmitów, którzy, bijąc się, wiedzą, że walczą o wasze dobro, poświęcając zdrowie, a nawet życie. Wiedzą jednocześnie, że gdy zwyciężą, pozostaną nadal najmitami. Czy nie tak? Za co więc walczyli? Odpowiedź jest jedna - walczyli za wasze dobra, nie poprawiając tym ani na jotę swego losu - dodał Kiryłoś.

- Isusy Chryste! Widzę, że w więzieniu przerobili was całkowicie na bolszewika, a byliście niegdyś szanownym bratem cerkiewnym - zakrzyknął zdenerwowany Zakwas.

- Oczywiście - odparł Kiryłoś, w więzieniu miałem czas przemyśleć niejedno, między innymi zrozumiałem też, że nasi wodzowie pragną morza krwi, ludzkich cierpień i niedoli. Cóż nam z ojczyzny ksiąząt i wielmożów, kiedy lud nadal będzie cierpieć niedostatek i poniżenie - dodał.

- O, hadko was słuchać - koniec świata - rzekł rozsierdzony

Zakwas. Twierdzicie, że powinienem podzielić się majątkiem z moimi najmitami. Położyć ich do łóżka na miękką pościel, samemu zająć ich miejsce w stajni, na wyrku. I może do obiadu siadywać jak równy z równym. O, niedoczekanie ich! Świat przewróciłby się do góry nogami, gdyby się tak stało. Ej, Fediu, coś ci się w głowie pomieszało, nie od wczoraj na świecie panuje taki porządek i byle kto obalić go nie może - huknął zacierzawiony Zakwas.

- Grzegorz, innej drogi nie ma, jak pełna, szlachetna sprawiedliwość społeczna - dodał Kiryłoś.

- Nie poznaję cię, Fediu - moje dzisiejsze odwiedziny u ciebie były gorzkie. Nie tego ja i inni spodziewaliśmy się po tobie - rzekł na odchodne mocno zafrasowany Zakwas.

Po drodze do domu, rozważając przebytą z Kiryłosiem rozmowę, nie mógł sobie darować, że tak zdolny i mądry człowiek nagle zgłupiał. Na obejściu, poirytowany niefortunnym spotkaniem, nie wstąpił do obory i do stajni, jak zwykle to czynił, kopnąwszy merdającego ogonem szarego wilczka, z zachmurzonym czołem wszedł do mieszkania. Domaszni, widząc gospodarza nie w sosie, nie pytali, gdzie był i co czynił przez kilka dobrych godzin. Jedynie najmit, kręcąc się w sieniach przy "miemicy" (większe naczynie do zadawania paszy domowym zwierzętom, szczególnie bydłu), nie bacząc na usposobienie swego pana, oznajmił, że w związku ze znalezieniem sobie sposobniejszej pracy z początkiem następnego tygodnia odchodzi. Zakwasem zatrzęsło, przymknąwszy mgłą zachodzące oczy - złośliwie wykrzywiając usta - wrzasnął:

- I ty też zidiociałeś. A idź i zdychaj z głodu i to zaraz, niech cię nie widzę!

Najmit po takowym przyzwoleniu zebrał do woreczka wypracowane przez lata mienie i jeszcze przed północą opuścił, nie oglądając się, nigdy nie pokochane gospodarstwo.

Kilka dni potem Zakwas, idąc przez miasto za sprawunkami, spostrzegł w milicyjnym mundurze znajomą mu twarz, z ciekawości przystanął, wówczas tamten, przykładając rękę do daszka, rzekł głosem w pełni władzy:

- Dzień dobry obywatelu Zakwas.

Gospodarz, poznawszy swego najmitę, żegnając się nabożnie, szepnął: - O, Hospody! Teraz już wiem, że wszystko przepadnie. Któż tę ziemię będzie uprawiał? Skaranie boskie. Koniec świata.

Brr.. zimno, jak na Syberii - rzekł Pełechaty do Trzaski, podążając zaśnieżoną drogą do studni odległej około tysiąca kroków od domu.

- Nie dziwota - odparł Michał - przyszli Ruscy, przyszło zimno.

- Dzisiaj znowu zebranie w moim domu - napomknął Pełechaty. Żeby ich diabli wzięli, namawiają porządnym gospodarzy do kolchozu. Ponoć zamierzają przyjąć pewną ilość członków bez ziemi, jak na przykład niektórych zdrowszych najmitów.

Tłumaczą aktywiści komitetu, że ma to być kolchoz wzorowy, dlatego też chcieliby widzieć w nim w większości co lepszych gospodarzy.

- Nie znam się na polityce - odrzekł Trzaska, ale jestem za tym, aby każdy, mając kawałek ziemi, uprawiał ją sam. Boli mnie na przykład, gdy patrzę na bezkresne łany hrabiów Szatarskich, Kozibroczkich, Jałowickich czy Martyluka, kiedy na nich tyrają za pół darmo ludzie niemajątni. Nigdy w moim życiu nie widziałem żadnego z nich, żeby sam orał, siał, bronował, zbierał zboże czy okopowe. Widziałem ich natomiast na różnego rodzaju odrażających zabawach. Nie mówiąc o licznych biesiadach zagranicznych, o czym nawet wróble na dachu ćwierkały i jaka to sprawiedliwość boska. Przecież do bogaczy się nie zaliczam - odparł Pełechaty - dziesięć morgów to nie majątek, sam je uprawiam przez całe życie.

Napełniwszy pompą, owiniętą słomą od mrozu, po dwa wiadra wody, niosąc je na koromyśle, pobałowali z powrotem. Na skrzyżowaniu ulic rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Na dworze przybierał coraz bardziej siarczasty mróz. Nawet wrony, zwykle ulatujące na żer, dzisiaj przytulone do nagich gałęzi wysokich drzew żałośnie krzycząc, dawały o sobie znać, że też marzną.

Podobnie zachowały się wróble, kryjące się przed zimnem w nie omlóconych stożkach i ogaconych greczaną słomą ścianach mieszkalnych chat.

Zgodnie z zapowiedzią, wieczorem w izbie Pełechatego zebrano się sporo ludzi, oczekując rozpoczęcia zebrania na temat kolchozowego statutu.

Okolo pół godziny po zapowiedzianym czasie do mieszkania wszedł z miejscowym setnikiem mężczyzna - olbrzym, niedawny najmit

nieboszczyka Semeniuka - Medunka.

- Zobaczcie, jaki z niego paniaga - trącając łokciem Trembeckiego - szepnął Pełechaty.

- Jednak nie zginął, jak mówiono w pożarze gospodarstwa Semeniuków - rzekł zdziwiony tym Trembecki.

Tymczasem Medunka zwyczajowym "dobry wieczór" pozdrowiłszy zebranych, zajął miejsce za stołem obok siwobrodego człowieka, reprezentującego sobą głowę wiejskiej rady.

- Kazano mi dzisiaj omówić część statutu kolchozowego - powiedział, rozpoczynając dość składnie jego czytanie.

Wprawdzie na stole świeciła się lampa naftowa ósemka, mimo to chwilami, pod wpływem duszności światła malało, rzucając na dość rozległą izbę tylko żółtawą jasność.

- Popatrzcie, dotąd trzymał głowę na zasuwach, uchodząc za niepiśmiennego, a czyta i pisze - kontynuując rozmowę, szepnął Trembecki Pełechatemu. Nie dość tego, że czyta i pisze, to i składnie mówi. O! Posłuchajcie - odrzekł półszepem Pełechaty.

Istotnie Medunka, czytając statut, od czasu do czasu odrywał oczy od broszury, wodząc nimi wytrwale po drwiących i pełnych nienawiści niektórych twarzach. Odczuwał w stosunku do siebie życzenia co bogatszych gospodarzy oraz zabobonnych i strachliwych kobiet.

Po około dwugodzinnym ślęczeniu nad nieznanym nikomu statutem Medunka, kończąc zebranie, powiedział: - Wiem, że przez uprawianie drobnych kąsków ziemi wielu gospodarzy jest ze sobą skłóconych i sprawiedliwości swej dochodzą w sądach, zadłużając się i tracąc zdrowie. Tak jest teraz, tak było dawniej i przed wiekami. Uważam, że połączenie waszych gruntów w jedno duże gospodarstwo wyeliminuje wspomniane przeze mnie sprawy, ponadto wasze konie i wysiłek waszych mięśni zastąpią maszyny, przede wszystkim traktory.

- A żeby cię piorun strzelił - syknął Fedio.

- Cicho, nie przeszkadzaj - ofuknęła go Michalska, słuchająca uważnie całości wystąpienia.

Jak zawsze, tak i tym razem, wołano obecnych do zabierania głosu w tak ważnej dyskusji, a że nikt wśród na wpół śpiących obywateli nie przejawiał ochoty, ogłoszono zebranie za zamkniętą.

- No, Hospody, sława Tobi - prostując plecy - rzekł Szczerbaty, budząc jednocześnie sąsiadów siedzących pod piecem, gdzie zmożeni trudnościami przebytego dnia i wieczora usnęli, nie słysząc końcowych słów zebrania.

Nazajutrz nad okolicą zerwała się burza śnieżna. Wysokie brzosty

rosnące na brzegach sadowskich "bosych dróg", skrzypiąc co niemiara, chyłały się w pół nad ziemią, siejąc wzdłuż i wszerz zabobonny strach. Gdzieś znad Wolicy, razem z białą kurząwą śniegu, leciały cząstki śmieci i słomy porwane wichurą z nieszczelnych stodół, szop i brogów, czyniąc ze Sądów szarobiałą zaśmieconą mieścinę.

- Pewnie znowu się ktoś powiesił - mówiono. A po trzech dniach, kiedy pogoda okazała się niezmienna, zaczęto zbierać wśród wiemych pieniądze na odprawienie w cerkwi i kościele modłów. Czyniono to jednak z dużą ostrożnością, bowiem na zbieranie takowych datków należało mieć od miejscowej władzy radzieckiej specjalne zezwolenie. Chcąc jednak zło oddalić, nie bacząc zbytnio na formalności, zbierano grosz pośpiesznie od rana do wieczora, nie omijając nikogo.

Nawet Michalska - wyciągając ze skrzyni nowego rubla - rzekła do kwestującego: - Bierz, Fediu i ofiaruj go w świątyni Bożej, może Bóg odmieni tę straszną pogodę.

- Oczywiście, oczywiście, wiara czyni cuda - odrzekł Pełechaty, chowając papierowy pieniądz do pęcherza po opróżnionym tytoniu.

W tym akurat momencie do izby gnany wichurą wpadł Michał Trzaska. Zobaczywszy w mieszkaniu niecodziennego gościa - zapytał bez skrupułów czyby nie nowe kłopoty.

- Za odwrócenie pogody i zdrowie ludzi Fedio na mszę świętą zbiera - pośpieszyła z odpowiedzią Michalska.

- Na mszę? Za pogodę? Przecież to nie kataklizm, a normalne, zimowe zjawisko kilkudniowe - odrzekł Michał.

Pełechaty, płacząc słowami trzecie przez dziesiąte, w końcu ujawnił rąbka tajemnicy celu zbierania na mszę. Okazało się, że część zbieranych sum miała swoje przeznaczenie na nacjonalistyczną organizację "Dzwinek".

- Fediu, Fediu, myślałem, że zmadrzałeś. Widzę jednak, że nie pomogła ci nawet bielizna damska, w którą powracającego z wojny ubrali cię druzja tajnych, ukraińskich organizacji, pędząc cię przez wieś i miasteczka, ośmieszając ciebie i mundur - rzekł Trzaska.

- Żartujesz, Michał - odparł obruszony Pełechaty. Nie tacy jak ja rzecz tę obmyślili - ciągnął - chociażby dajmy na to Berezdeń, Kłym, Sahajdacznij, Szczerbatyj czy Zakwas, niebiedni to ludzie i bogobojni, zabiegający o zbawienie dusz ludzkich - wiedzą, co czynią - dodał.

- Jednak głęboko zapuściłeś swe korzenie w to bagno, Fediu - rzekł ze wzruszeniem Michał. Wracając do swych politycznych mocodawców, powiedz im, że o duszę moją sam zadbam, a o odwrócenie woli Bożej względem pogody codziennie modlimy się bezpłatnie - dodał.

Pelechaty, słuchając wywodów krewniaka, siniał ze złości, wreszcie nie wytrzymał dłużej, bez słowa pożegnania wybiegł na ulicę, zanurzając się w burzy śnieżnej zadymy.

ROZDZIAŁ XXIV

Wśród bezkresnych wołyńskich lasów, nad spokojnie płynącą rzeczką rozsiadło się skromne obszarem i ludnością osiedle. Wzbogacone o bitą drogę i linię kolejową, w głębi między przystankiem kolejowym a leśnictwem rozpoczynała się pięćdziesięcioarowa posesja służbowa torowego Jana Semeniuka.

Tuż za kamiennym granicznikiem, wzdłuż piaskowej drogi ciągnęły się domki leśnych drwali, z których w jednym na początku mieszkał mistrz lasów, leśniczy Walla.

O kilka przysłowiowych kroków dalej ze skromną wieżyczką, krytą czerwoną dachówką, stała kaplica miejscowa z niedużą przybudówką na dwa dzwony. Przy końcu, wśród tak zwanych alei starych dębów, bielą karczma z wyszynkiem, będąca własnością leciwego już Moszka Szulima.

Okolica ta bogata w lasowe powietrze, zwierzęta łowne, ryby i grzyby rokrocznie przyciągała sporą ilość wczasowiczów i nie tylko. Mimo warunków zmienionych przez wojenne działania, do osiedla i w tym roku zjechało w porze letniej kilkudziesięciu miłośników cichych zakątków lasowego runa. Wśród nich można było spotkać steranych życiem kolejarzy, pocztowców, pracowników elektrowni i emerytów drogowych, nie spotkano natomiast nigdy kogoś z rolnictwa bądź to z gospodarstw prywatnych, bądź to z majątków byłych, dużych właścicieli. Toteż w osiedlu, w lasach i nad rzeczką od wczesnego ranka do późnego dnia nie ustawały rozmowy, wesołe pieśni i chichoty.

Któregoś pełnego uciechy dnia, Zosia, córka leśniczego Walli z wpiętym w kwiecistą sukienkę kwiatem chabru, nucąc pieśń o kalinie, podążała w głąb lasu. Za pierwszą rogatką, rozglądając się, przysiadła na pniu ściętego dębu, wypatrując uważnie Bazyłka biegnącego przed chwilą w tę stronę.

- "Widocznie uległ pokusie i jak zwykle za torowiskiem czatuje na lisa" - miarkowała, nie widząc go wokół. A że kochała go pierwszą dziewczęcą miłością, marząc o nim postanowiła czekać. Tu właśnie po raz pierwszy, widząc jego piękną twarz okoloną czarnym zarostem i bujną czyprynę na głowie, osadzonej na krępej, męskiej szyi wbudowanej na potężnej postaci oraz zgrabnych rąk i nóg - umiłowała go jak nikogo przedtem.

Nagle dojrzała go za polaną, zwaną przez tamtejszych drwali "głuchą studzianką", biorącą nazwę od studni zasypanej przed laty, z której pozostał ino krąg betonowy obrośnięty mchem i zdziczałą trawą.

- Hej! Bazylek! - zawołała, biegnąc w jego kierunku.

Tamten, usłyszawszy wołanie, tupiąc mocno nogami, zakrzyknął:

- A ty tu czego o tej porze? Chcesz, by cię wilki pożarły? - dodał, zbliżając się do niej.

- E, tu ich nie ma. Ojciec mówią, że zostały całkowicie wytrzebione, inaczej w lesie nie zatrzymałaby się żadna zwierzyna - odparła.

- Wszystkich nie wytrzebi, bo i nie sposób byłoby się ich pozbyć w krótkim czasie. Zresztą na własne oczy widziałem któregoś dnia dwóch wilków drałujących właśnie przez tę polaną. Ponadto niepotrzebnie oddałeś się od domu, przecież to nie mniej od mili - dodał pouczająco.

- Gdybyś mnie troszeczkę lubił, zabierałbyś mnie tu ze sobą na dłuższe przechadzki - przymykając oczy rzekła.

- Jakże to, już nie wierzysz, że cię miłuję - obejmując Zosine ręce odparł Bazylek.

- Wierzę, wierzę mój sokoliku - tuląc się do jego piersi - pocałuj mnie jak za pierwszym razem obok starego, dębowego pnia - szepnęła.

Bazylek, korzystając z przyzwolenia, ująwszy w swe dłonie jej twarzyczkę, okładał pocałunkami oczy i rozchylające się radośnie usta, nie darując doleczkom chowającym się w zaróżowionych policzkach.

Po dłuższej chwili miłosnej wędrówki, trzymając się za ręce, wracali do domu.

- Domyślałam się, że wnyki zakładasz na grubą zwierzynę, bo i czego każdego wieczora zaraz po przyjeździe pociągu chodzisz w te strony - rzekła na chybił trafił Zosia. Nie obawiaj się, nie polecę z tym do ojca - dodała. Ponadto zauważyłam, że masz przyjaciela, z którym niewątpliwie dzielisz się schwytaną zdobyczą - zaczęła od nowa.

- Przywidziało ci się - odrzekł Bazylek, czerwieniąc się z lekka.

Wsluchując się w cicho skrzypiący las, niebawem stanęli w "alei Dębów", za którą o staję dalej rozpościerała się miejscina zwana przez osiedleńców i wczasowiczów "Leśnym Uroczyskiem". Tu, przy kilku pocałunkach, uzgodniwszy następną randkę, truchcikiem oddalili się do swych domów.

W najbliższą niedzielę Semeniukowie, korzystając z pięknej pogody, zaraz po pierwszym nabożeństwie wybrali się do lasu na maliny. Ponieważ Bazylek zwykł już chodzić własnymi ścieżkami, szli więc sami.

Mając swobodę w wypowiedaniu niektórych domowych spraw, jak

zwykle rozpoczęli o Bazylku.

- Ponieważ chłopca nie ciągnie do książki, dajmy go do zawodu, na przykład ślusarskiego - rzekł Janek.

Janka, chcąc dziecko mieć jak najdłużej w domu, obstawała przy swoim, a to, że jest jeszcze za młody i dziecinny, no i kto zaręczy za jego zdrowie w warsztacie w dzisiejszych czasach.

- Chłopakowi minie niebawem szesnaście lat, a ty wciąż uważasz go za malucha - ciągnął Semeniuk. Dla jego dobra będzie, gdy właśnie od teraz zajmie się nauką fachowej pracy. Jeśli uważasz - powiedział, że w ślusarstwie ciężko mu będzie, dajmy go na naukę do Walli, gdzie sprawując się może po kilku latach zostać gajowym. Jeszcze dzisiaj w tej sprawie z leśniczym pogadam - nacierał.

- Ale, ale, co to? - zawołał nagle, zobaczywszy za "karczewiskiem" Bazylka z hleszczawieckim gospodarzem.

- Słyszałaś kiedy o Mikiecie Medwiedziu z Hleszczawy? - zapytał zatrwożony.

- Nie, nie słyszałam - odrzekła Semeniukowa. Kto to taki?

- To człowiek z naszych stron. Dziwi mnie, co on tu robi wśród lasów, a najbardziej zastanawia mnie kontakt z naszym Bazylkiem - odpowiedział.

Tymczasem z oddali rozległ się szum zbliżającego się pociągu. Towarzyszący Bazylkowi osobnik, żegnając się naprędce, pognął w stronę kolejowego przystanku.

- Rozmówiłbym się z nim, ale nie zdążę, zaczekam sposobniejszej chwili - rzekł półgłosem Semeniuk, gdy pociąg opuszczał przystanek, uwożąc człowieka, budzącego w nim dziwną odrazę.

Uzbierawszy zamierzony koszyczek malin, wracali do domu. Popytam chłopca, skąd zna Mikietę i czego tamten spodziewa się po tej znajomości - pomyślał, wchodząc na podwórko.

Bazylek był już w domu. Przybył tu innymi drogami, nie spotykając nikogo. Zmęczony osobliwym spotkaniem odpoczywał, leżąc w izbie na sofie.

- Gdzie się podziewałeś potem, gdy odszedłeś od nas w lesie? - zapytał ojciec Bazylka.

- Sidła podpatrywałem - kłamał młodzieniec.

- Jesteś niepoprawny, mój chłopcze, prosiłem, abyś zaniechał tych praktyk, bowiem wstydu przynieść możesz, gdy cię leśniczy lub gajowy nakryje. Kłusownictwo to nic innego jak złodziejstwo - dodał.

Dalsze pouczające wywody przerwała matka, prosząc do stołu na świeżo ugotowany świąteczny obiad. Po chwili Bazylek zmiarkował

udobruchanie się ojca, celowo więc podrzucił temat o babci Józefowej i tegorocznym urlopie.

- A, tu cię boli, ptaszku - pomyślał Janek. W odpowiedzi jednak nadmienił, że do babci w Sady w bieżącym roku nie wybierze się wcześniej jak zimową porą.

- Dlaczego tatku? Parę dni temu mówiliście, że do babci wybierzemy się w trakcie lata - molestował Bazylek.

- Odmieniło się - kładziemy na całej przestrzeni nowe szyny z uwzględnieniem nowej szerokości międzyszynowej, co zabierze wiele czasu, możliwe, że do grudnia - odpowiedział Janek.

- Też mi praca dla bolszewików - mruknął młodzieniec.

Semeniuk, tknięty do żywego niebywałym zwrotem syna, omal ze stołka nie spadł, a że umiał natychmiast ustawić odpowiednio wodze na nerwach - rzekł spokojnie:

-Widzisz, chłopcze, jedni pracują na kolei, inni w lesie, a jeszcze inni w kopalniach, w polu, w fabrykach i temu podobnie. W ten sposób zarabiają na chleb i wszystkie potrzeby własne i ich rodzin. Małolatek jesteś i nie dziwota, że wypowiadasz się mizernie. Rosteś w dostatkach, które zabezpieczaliśmy ci z matką. Nie wszystkim jednak się wiodło, a szczególnie bagatelizującym lub lekceważącym codzienną, systematyczną pracę. Nie umiesz tego docenić, gdyż nie nauczyliśmy cię tego z matką. Uważam jednak, że w przyszłości zrozumiesz - dodał patrząc Bazylkowi w rozpromienioną twarz.

- Słuchaj no, synu - zaczął Janek od nowa. Nie masz ty jakich kłopotów? Nie ukrywasz czego przed nami? Uważam, że czas najwyższy zacząć naukę w wybranym przez się zawodzie, jak na przykład kowalstwo, ślusarstwo, szewstwo, krawiectwo lub co innego, co byś wybrał, jak myślisz? - zapytał.

- Na służbę oddać mnie chcecie? O, na to się nie zgodzę - wycedził przez zęby Bazylek, wybiegając na ulicę.

- Wracaj, dokąd idziesz? - zawołała matka.

- Nie denerwuj się, sam wróci - odezwał się Janek, patrząc za Bazylkiem biegnącym w stronę "alei Starych Dębów".

- Niedobrze z nim - dodał wsłuchując się w miarowy stukot odjeżdżającego pociągu.

W niespełna kwadrans potem, przed domem Semeniuków zjawił się leśniczy Walla w asyście gajowego, trzymając pod rękę ociekającego krwią Bazylka.

- O, Jezus! Synu mój! - zakrzyknęła Semeniukowa, obsuwając się

na podłogę zemdlona.

- Na tapczan z nim - rzekł spokojnie Janek, nacierając za chwilę małżonki skronie octem i solą. Niebawem, budząc się z omdlenia, zobaczyła Bazylka leżącego na czystym posłaniu z obandażowaną głową i śladami na twarzy zakrzepłej krwi.

- Żyje? - zapytała stojących obok leśniczego z gajowym.

- Żyje i jutro będzie zdrow jak ryba - odrzekł Walla. Próbował skoczyć do jadącego pociągu, szczęście, że go nie ściągnęło pod koła. Trochę podrapany i potłuczony, ale młodzi z tym rosną - dodał gajowy.

ROZDZIAŁ XXV

Późną, jesienną nocą, drogą obrośniętą wysokimi brzościami, prawie bezszelestnie posuwało się w kierunku głównego rozdroża dwóch tęgawych mężczyzn. Obok brzegu zacięzionej krzewami skarpy, w której od dawien dawna, chroniąc okolicznych mieszkańców od złego, wkopany był kwadracie kamienny, dwumetrowy głaz, skręcili w lewo. Nie bacząc na wierzenia, że w tym miejscu straszy, bowiem pod kamień duży zakopano ogromniastego węża, który miał być "nieczystym" - zagłębili się w gęstwinie dziko rosnących agrestów, idąc aż do leniwie płynącego strumyczka.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł jeden z nich, dobywając z worka połowę łopatkę, po czym we względnej ciszy, w zaplanowanym miejscu przekopywano krok za krokiem piaszczystą ziemię.

Jak się okazało, namiar był dokładny, bowiem za niedługą chwilę rozległ się głuchy, grobowy dźwięk i obok nadwodnej ścieżki zaczęto ustawiać kolejno wydobywane metalowe skrzynki.

- Przywołaj furmana - rzekł któryś.

Po chwili, oczekująca w bocznej uliczce furmanka załadowana trefnym towarem ruszyła w górę ulicy Średniej. Zadanie przewozu zabezpieczała przednia i tylna straż.

W razie niemożności uniknięcia nie planowanego spotkania przygotowano flaszkę gorzałki, a w razie niespodziewanej kontroli drogowej - odbezpieczone pistolety i ręczne granaty.

Jechali mało uczęszczanym traktem aż do hleszczawieckich bunkrów.

- Gotowe - zawołał półgłosem Medwed, gdy do podziemia zniesiono ostatnią skrzynkę trofeunej broni.

- Za nieboszczki Polski pewniej było zwozić te świństwa. Bolszewicy mają lepszego węża - rzekł Zakwas na odchodne.

Zameldowanie parochowi o wykonaniu polecenia poruczono Zakwasowi, który wracając do Sądów, zjechał w doliny, bowiem miękki teren pozwalał na prawie bezgłośnie poruszanie się gospodarskim wozem, szczególnie w okolicy objętej ochroną przez dostojnych cerkiewnych braci. Wycierając co pewien czas twarz z latających pajęczyn przypominających woalki rozciągnięte po przydrożnych, zdziczałych krzewach, po około dwóch godzinach jazdy stanął na własnym podwórku.

- Dziękuję ci Boże, żeś mi pozwolił wrócić z tak niebezpiecznej podróży - szeptał między innymi, odmawiając poranne modlitwy. Zgodnie

z przyjętym na się obowiązkiem pod hleszczawieckim bunkrem, nie zwlekając, skoro świt pośpieszył na plebanię.

- Ogromnie się cieszę - rzekł duchowny, witając przybyłego. - Czy coś nowego przypędziło was z rana? - dodał.

- Przybyłem otcze tak wcześnie donieść wam o udanym przedsięwzięciu - wyrzekł nieśmiało Zakwas.

- Dziękuję, miły druhu, dziękuję, wiem już o tym od godziny - odrzekł rozpromieniony paroch.

- Jakże to, otcze? Byli już inni przede mną? - zapytał zdziwiony Zakwas.

- Tak Grzegorz, zdążyli; ciężka to i niebezpieczna praca, ale miła ojczyźnie i cerkwi - odparł ksiądz Martyluk. Poza tym chciałem zapytać, gdyż z nim sąsiadujecie, co tam u Kirylosia - dodał.

- Szkoda mówić, otcze, w głowie mu się pomieszało. To już nie ten Kirył jak dawniej - odpowiedział Zakwas. Powiadają, że z tajniakami trzyma - dodał.

- Nie wierzę, ludzie zwykli pomawiać pokrzywdzonych. Myślicie, że tu nie wężą. Mało to najmitów i tych co do niedawna z lenistwa przymierało głodem dostało się teraz do władzy - dowodził paroch.

- Kirył w więzieniu wyedukował się do tego stopnia, że mógłby z powodzeniem uchodzić za prawnika i nie być jakiego polityka, a przy tym zadatek na bolszewika - odrzekł Zakwas.

- Przyszłość pokaże - odparł paroch, otwierając grubą, szarą księgę, przypominającą cerkiewny mszał.

Zakwas, widząc odruchowy grymas duchownego atamana, zrozumiał, że posłuchanie dobiegło końca; pochwalił więc Boga, kłaniając się w pas, opuścił plebanię.

Tuż za Demerackiego kuźnią doszedł młodego Semeniuka podążającego w kierunku Sadów, z którym rozmawiając na wstępie dowiedział się, że Janek przyjechał do Sadów na urlop na razie bez żony i syna. Rad byłby coś jeszcze z niego wyciągnąć, lecz za plecami Szcerbaty jadąc wozem - zawołał tubalnym głosem:

- Ej, Semeniuk - siadaj, podwiozę!

Semeniuk, taszcząc tęgą walizę, nie zwlekając z ochotą wgramolił się na wóz. Wpatrzony w opadające z drzew pożółkłe liście ani zauważył, gdy stanął przed Michalskiej obejściem.

- A odwiedź mnie kiedy - krzyknął na odchodnym Szcerbaty.

- Odwiedzę na pewno - odrzekł Janek, dziękując jednocześnie za podwiezienie.

Nazajutrz, wprowadzając w rodzinny dom promienną radość,

przyjechała Janka z Bazylkiem. Po kilkudniowym pobycie, pomagając matce w jesiennych porządkach w domu i na polu, któregoś świętecznego dnia, przy pięknej pogodzie, postanowili odwiedzić w Dębinie niedalekich krewnych.

Jak zwykle i tym razem poszli bez Bazylka, bowiem ten od samego ranka codziennie ulatywał w nieznane, mówiąc rodzicom, że kolejno odwiedza kolegów i znajomych. Janek, domyślając się macek cerkiewnych braci, truchlatnie wprowadzając jednak w to Janki. Kilkakrotnie zamierzał przerwać urlop i wyjechać na Wołyń, by oddalić się od złowieszczej braci. Nie uczynił tego, czekając, że się odmieni, że to nieprawda, aby jego rodzony syn tarzał się już od dziecięcych lat w brudzie cerkiewnej mafii.

Minął wkrótce miesiąc urlopu; niczego nie uzyskawszy, młodzi Semeniukowie odjechali na Wołyń - unosząc ze sobą żal do niektórych złoczyńców.

ROZDZIAŁ XXVI

Jak każdej wiosny, tak i w tym roku, w sadowskich kuźniach od wczesnoporannych godzin aż do wieczora panował niezwykle ruch. Rozpoczynał go dźwięk kowadeł oraz szum napędzanych ręcznie kowalskich miechów.

Na usługę w zakresie kucia koni, klepania lemieszki, podciągania obręczy stalowych do kół wozu oraz naprawę narzędzi rolniczych codziennie oczekiwało tam kilkunastu sadowian.

Między innymi któregoś poranka do kuźni Demydy wszedł Kłym Sahajdaczny. Rozglądając się po podwórku i warsztatowym pomieszczeniu - poprosił majstra, by ten na chwilę zamknął bramę kuźni. Demyda, miarkując co czynić należy, kazał Hołowatemu przysiąść przy miechu, a Riezniakowi przy warsztatowym okienku, a kiedy zamknął bramę, przykrywając ją drewnianą zasuwą - zawołał: - Można czytać!

W rękach Kłyma zaszeleścił plik papierów, które rozwiniawszy niczym biblię lub książkę do modlenia, położył na przybrudzonym stole. Pośpiesznie nałożywszy okulary, rozpoczął czytanie bieżącego biuletynu, a gdy ostatni listek został odczytany, głęboko westchnął, mówiąc:

- Dawby Boh, dawby Boh.

Za nim powtórzyli pozostali:

- Dawby Boh.

- Wyzwoleńcza armia Hitlera tuż, tuż, cieszymy się, bracia - wołali.

Kłym Sahajdacznyj przypomniawszy obecnym o zbiorce na organizacyjny "Dzwinok" - wsadził pod ramię obręcz od beczki na wodę i wyszedł na ulicę.

W celu przeniesienia świeżo zdobytej z biuletynu nowiny tylnymi drzwiami wyskoczyli Hołowaty i Riezniak, którym na odchodne Demyda radził trzymać język za zębami.

Okolicę ogamiał szal radości i strachu. Butna organizacja "Siczowników" dzień i noc czekała na wkroczenie niemieckich wojsk. Natomiast wierni rozgromionej Polsce z odrazą wsłuchiwali się w diabelskie uciechy, wierząc, że w końcu przyjdzie dzień sprawiedliwości.

I wreszcie nadszedł upragniony przez Semeniuków dzień radości, bowiem Niemcy hitlerowskie bez wypowiedzenia wojny, dnia dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, łamiąc z Sowietami umowę Mołotow - Ribbentrop z sierpnia 1939 roku - w bandycki sposób, jak na Polskę, napadły na Związek Radziecki.

Ksiądz paroch z dnia na dzień krańniejąc z radości coraz częściej oglądał z ukrycia tajemną, czarną księgę, podkreślając w niej grubszą kreską niektóre nazwiska znienawidzonych sobie i starszyźnie ludzi.

Sygnalem wielkiego wydarzenia miał być człowiek przybity do drewnianego krzyża płynący z biegiem Gniezny. Ukraińsko-faszystowscy oprawcy rozpoczęli swoje krwawe żniwo. W celu nadania ważności swoim działaniom petlurowscy pułkownicy za zgodą hitlerowskich władz przystąpili do organizowania na najbliższą niedzielę wiecu z udziałem cerkiewnych braci "Siczowników" i ich pobratymców.

W przygotowaniach tych w szczególnie sposób, oprócz parocha, wyróżniali się: Szczerbaty, Medwid i Koldun.

Miasto przybrało odświętny wygląd. Obok czarnych swastyk widniały flagi i szturmówki ze złotym tryzubem oraz rozpięty nad główną ulicą długi transparent z widniejącym napisem z czarnych, lśniących liter - "W dowód wdzięczności oddajemy Hitlerowi nasze serca".

W oznaczonym dniu na przycerkiewnym placu, już od wczesnorannych godzin zbierali się wiecownicy. Około godziny dziesiątej na balkonie budynku przy ulicy Legionów, w asyście umundurowanego hitlerowca ukazał się pułkowiec ksiądz Martyluk. Przez chwilę buńczucznie wodząc oczami po zebranych, podniósł rękę ku górze, zawołał:

- Ludu! Bracia! Oto nadeszła chwila dziejowa, którą przynosi nam w darze wielki wódz, nasz przyjaciel Adolf Hitler. Po wsze czasy dziękować mu będziemy za wyzwolenie naszej matki ziemi z jarzma jaśnie wielmożów Poski oraz bolszewików. Po wiek wieków powiewał będzie nad nami złocisty tryzub. Bóg natchnął wielkiego Bandere, by razem z mądrym narodem niemieckim walczyć o całkowite wyzwolenie naszej ojczyzny. Dni bolszewików są policzone. Poprzez cerkiew naszą składamy modły i ślubowanie, że odwiecznych praw naszej wielkiej ziemi bronić będziemy do ostatniej kropli krwi.

Stojący obok kasztanowego drzewa niemiecki żołnierz, widocznie znający tujejszy język, zwinął u prawej ręki palce, pokazując figę, szepnął do swego współtowarzysza broni: - Dureń myśli, że przyszliśmy im ojczyznę tworzyć. Ziemia zdobyta to ziemia nasza, niemiecka - splunął i odszedł.

Po wiecu co przedniejsi bracia, ucałowawszy wiszącą nad cerkiewną bramą szmatę, na której błyszcząca czarna hitlerowska swastyka i złocisty tryzub, zaproszeni, szli do plebana na uroczysty obiad. W czasie posiłku znalazła się też gorzałka, a więc bracia do późnej nocy tręcali się kielichami, wspominając chwilami niewiemych Smerekę i

Solowija.

Nazajutrz późnym wieczorem ulicami Sadów dwóch wysokiego wzrostu mężczyzn prowadziło ciężko załadowaną furmankę.

- Ciemno choć oko wykol - rzekł któryś.

- To i dobrze, byle tamci na czas wartowników sprzątnęli - odrzekł drugi.

W tym czasie Przybylski, wracając od znajomych z wieczornych pogaduszek, niespodziewanie nadział się na niecodzienny konwój. Wykazując zawsze wiele sprytu i rozwagi i tym razem na czas cofnął się za najbliższe przydrożne krzewy, wsłuchując się, kto o tak późnej porze, tak ustronną ulicą krok za krokiem posuwa się w kierunku "ścianek". Przybliżywszy się nieco do wozu, rozpoznał po głosie Demydę, wobec czego nie zwlekając ruszył po Trzaskę.

Michał wprawdzie spał już w najlepsze, jednak pukanie w okno alkierza postawiło go na nogi. Dowiedziawszy się na chybcika, w jakiej sprawie jest budzony, w mgnieniu oka znalazł się na ulicy, by za chwilę, pędząc za Przybylskim ścieżkami na przelaj, stanąć na "bosej drodze" zwanej "głęboką". Przed nimi toczył się z niemałym ciężarem zagadkowy wóz.

- Stop! - zawołał szeptem Trzaska, widząc śledzoną furmankę skręcającą na Seneńskiego ogród.

- Nareszcie - odrzekł Przybylski, gdy wóz zatrzymał się obok samotnej szopy.

W niespełna jednego pacierza zawartość jego została prawie bezszelestnie wyładowana, po czym wyjeżdżając na bezludną drogę, zniknął w dość głębokich, piaskowych wykopaliskach.

Przybylski z Trzaską ciekawi złożonego w szopie dobytku, przyświecając lampką elektryczną, odrzucili kilka snopów omlóconej słomy, za którą w metalowych skrzynkach spoczywały ręczne granaty, w innych natomiast naboje karabinowe.

Patrząc z oburzeniem na śmiercionośny towar, Przybylski nagle jak gdyby drgnął. Podskoczył do jednej ze skrzyń, biorąc z niej karbowane cacko, szepnął:

- Jutro będzie tu ciepło, jeśli ktoś ruszy drzwiami. Przeciagnął kawał cienkiego drutu od klamki do zawłeczki granatu; uśmiechając się do Michała, szepnął:

- To im wystarczy, wracajmy do domu.

ROZDZIAŁ XXVII

Kilka miesięcy później Janek Semeniuk, mając ciągle na uwadze spotkanie z Medwiediem, pewnej niedzieli już w godzinach rannych wybrał się do Hleszczawy. Pozorując oglądanie oziminy w towarzystwie kilku sadowian, szedł aż do stawek. Tu zszedł w bezdroża, rozległych łąk pełnych rozwijającego się kwiecica i rehotu żab. Utwierdzony, że idzie śladami zbrodniarzy, pewien był, że wśród nich odnajdzie Bazylka, który tym razem od miesiąca bez przerwy znajduje się poza domem.

Było już z południa, gdy przed nim ukazała się długa, szara wieś. Wpatrując się w nią, kierował się do czarno malowanej terem bramy, za którą widniało gospodarstwo z ekskluzywnym budynkiem mieszkalnym o niebieskich ścianach i żółtych narożnikach. Nie pukając do bramy obszedł obejście od wschodniej strony, zatrzymując się obok starej szopy służącej gospodarzowi za bróg. Przez moment brała go chęćka odpocząć na ubiegłorocznej trawie. Nie poddając się pokusie, mocniej ujął kij, którym, skacząc przez rowy i dolki, się podpierał, ruszył do przodu. Minął szopę i węgiew stodoły, gdy nagle na piersiach zawisł mu tutejszy wilczur.

Semeniuk znieruchomiał. Trwało to jednak chwilę, błyskawicznie i pewnie objął szyję zwierzęcia, kładąc go u swych nóg bez tchu, a że podczas walki pies na strzępy porwał mu ubranie, wycofał się zawieś. Znalazłszy się w dolinach, odczuł zmęczenie. Przyciął kozikiem snop łożyny i tyleż obok ścieżki suchej zeszłorocznej trawy, przygotowując na zboczu połowe łoże. Myślał, że kładzie się na małą godzinkę, a obudził go dopiero nocny chłód. Odczytawszy w gwiazdach przespany czas, podniósł sękaty kij i ruszył z powrotem w kierunku wsi. Mijając pierwsze rosochate wierzby, stanowiące granicznik hleszczawieckich pól, usłyszał nagle ulatujący rój pszczoł.

- Ki diabeł - pomyślał - pszczoły? Teraz nocą?

Wsluchując się coraz bardziej zauważył o drugą miedzę dalej przesuwający się cień człowieka. Wytężywszy w tym kierunku wzrok, zobaczył nie jedną a kilka postaci, wśród których w jednej rozpoznał Bazylka. Chciał go zawołać, lecz rozsądek okazał się szybszy, postanowił więc ukradkiem iść za ich cieniem. Nie uszedł do przodu i pięćdziesięciu kroków, gdy nagle jak na zawołanie idący przodem osobnicy zapadli się pod ziemię.

- Sen czy choroba - pocierając czoło pomyślał. Po kilku dalszych krokach w upatrzonym kierunku usłyszał wyraźny zgrzyt ocierającego

się żelaza oraz cichy stukot motoru.

- Czyżby bunkry podziemne? - szepnął rozglądając się wokół.

- W tym miejscu mi zniknęli - warto by poszperać chwilę, a nuż znaję.

Tymczasem o kilka kroków dalej rozległ się lekki odgłos otwierającego się zamka, spod ziemi wyszło trzech osobników, w tej liczbie Bazylek.

- Idy Bazyl na mij horod, tam pid szopuju leży ta paka, prenysy jeji tut - rozkazał któryś.

Młodzieniec, znając widocznie każdy zakątek poszczególnych gospodarstw, pobiegł ochoczo bez zbędnych pytań wykonać zadanie.

- Teraz albo nigdy - pomyślał Janek, kładąc się na ziemię. Przez chwilę zcołgał się aż do granicznika kamiennego, obok którego wystawał około dwudziestocentymetrowy na grubość palca drut.

- Hej, wy tam pod ziemią! Wychodź który, pogadać chcę w pilnej sprawie - zawołał podnosząc się z ziemi.

W odpowiedzi usłyszał ostry szelest łamanej nogami trawy oraz tubalny głos ogromniastego osobnika, trzymającego w ręku długą, masarski nóż, pytając: Kto wy?

- Z atamanem lub kimś ważnym chcę rozmawiać - odrzekł Semeniuk.

- Z atamanem? Niestety, wyjechał - odpowiedział olbrzym.

- Semeniuk jestem, syna mego trzymacie w waszej organizacji podziemnej.

- A, to ty, cnoto anielska! - huknął tamten, opuszczając błyskawicznym ruchem nóż nad głową Janka. Semeniuk odskoczył, w czas uchwycił za przegub ręki draba, wykręcając ją do tyłu. Walcząc ze sobą zwalili się na ziemię, okładając się pięściami. Stękanie i gwałtowny oddech Semeniuka dowodził, że ulega olbrzymowi. Bandziur czując to, syknął przez zęby:

- Chcesz syna? Zaraz zobaczysz go przy robocie, będzie rznął gnaty jednemu z Lachów. A wiedz, że ja wyuczylem go tego rzemiosła - dodał trzymając mocno Janka za barki.

- Kto tam? - zawołał nagle Medwed, wychylając głowę z otworu bunkra.

- Zdrada, pułkownik! Zdrada! Szpahun! - zakrzyknął olbrzym.

- To ty, Semene? - zapytał Medwed.

Odpowiedzi już nie było. Janek sięgnął ostatecznie po swą młodzieńczą siłę i spryt. Korzystając z drobnej nieuwagi napastnika, ujął go z całej mocy za szyjne kręgi, a gdy rozluźnił ściśnięte z żalu i złości

palce, tamten wyzionął ducha. Medwed z furją rzucił się na klęczącego Semeniuka, uderzając go kilkakrotnie kolbą pistoletu w głowę. Gdy ten potoczył się na ziemię, pośpieszył ratować Semena.

- Isuse Chryste, on nie żyje - wrzasnął. Pomszczę cię, pomszczę, mój druhu - szeptał rozpaczliwie nad uchem nieboszczyka.

W niezwykłym pośpiechu ściągnął Semeniuka do podziemi, kładąc go na ławie kamiennej wbudowanej wzdłuż wąskiego korytarza.

- Ejże, a przyjdź no tu który - zawołał.

Z północnego kąta wybiegł niski, krępy osobnik. W mig rozebrał Semeniuka do naga, krępując mu ręce i nogi. Ułożył go w dużej klatce, obok czerwonego od krwi, brzostowego pnia.

- Obudź go - mruknął Mikieta.

Mały człowieczek podbiegł do skrzynki, wyciągnął z niej wielkości palca flaszeczkę, wodząc nią przez chwilę pod nosem delikwenta.

- Gdzie jestem? - zapytał Semeniuk, budząc się z omdlenia.

- Zaraz się dowiesz, hołubczyku - odrzekł rozwścieczony Medwed, patrząc w stronę niewyrośniętego opryszka. - Wyjdź no chłopcze na dwór i czekaj tam powrotu Bazylka; gdy wróci, nie wpuścisz go do bunkra, powiesz, że konferuję z ważną osobistością. Kiedy trzeba będzie, zawołam - skinął ręką Mikieta.

Mały człowieczek, chichocząc bezgłośnie, migiem znalazł się na zewnątrz, by, uchwycić Boże, nie spóźnić się z wykonaniem rozkazu.

- A teraz porozmawiajmy - zwracając się do Semeniuka, syknął herszt hleszczawieckiej bandy.

- Wiedziałem, że jesteście opętani mackami księdza Martyluka, nie wiedziałem, że jesteście w bandzie Bandery - odrzekł słabym głosem Semeniuk.

- Atamane! Atamane! - zawołał ktoś z zewnątrz półgłosem.

- Co tam znowu u diabła? - zawołał rozgniewany watażka, rozchylając nieco otwór bunkra.

- Ktoś udusił waszego psa wilczura - dodał.

- Taaak? Ach ty nędzniku! Ty antychryście! To twoja robota - huknął rozpaczliwym głosem Mikieta, zamykając za sobą wejście do bunkra.

Na dworze szarzało, gwiazdy błędąc znikwały w toni szafirowego nieba, kryjąc w sobie tajemnice ludzkich uczuć i zbrodni, kiedy Bazylek z Mikieta, przeszedłszy część hleszczawieckich pól, pokazał leżącego pod szopą w dwoje skręconego wilczura.

- O mój piesku kochany - głaszcząc zdechłą zwierzynę - mrucał Mikieta. O, złamał mu kręgi. Pohulaju z toboju, pohulaju - dodał patrząc

w kierunku pól.

- Chodźmy - rozkazał nagle zawracając ku dolinom. Obok chaty Semena szepnął: - Wejdiesz do tej strażnicy i będziesz czekał, aż cię zawołam. Nie oddalaj się nigdzie, będziesz mi potrzebny - dodał idąc ścieżką biegnącą nad rzędem rosnących wierzb.

Gnała go okrutna chęć zemsty, toteż zaledwie przekroczył próg podziemnego otworu, wrzasnął na grubaska, by ten przygotował do egzekucji jednego z Lachów oczekujących tu w straszliwych torturach od kilku dni.

- Którego weźmiemy? - zapytał spokojnie mały człowieczek.

- Pierwszego z tamtej strony, a z tym rozprawi się własny syn - rozkazał Mikieta.

Krępy braciszek bez skrępowań podszedł do kąta, gdzie leżało pokotem kilka zmasakrowanych ludzkich ciał. Chwyłszy za sznur i począł ciągnąć jedną z ofiar po ostrym betonie do okrwawionego pnia.

- Na hak jeho - zakomenderował Mikieta.

W jednej chwili leżący dotąd człowiek zawisł w powietrzu stopami do góry.

Onufry, bo takie imię miał dostojny cerkiewny brat, wszedłszy na drabinę, nasadził nogi delikwenta na zakrzywione ostrza, po czym spokojnie i bez pośpiechu zszedł na podłogę kamienną. Niebawem naostrzywszy długi nóż na specjalnej płycie, przystąpił do umiłowanego przez się zajęcia. Rozciął wiszącemu człowiekowi brzuch, po czym wolno wyciągając jelita, przewinał je na okrągły kawał drewna. Delikwent kilkakrotnie budząc się z omdlenia życie swe kończył w okropnych mękach.

Następnym trzem Lachom czyniąc łaskę, odcięto toporem głowę, po czym nienasycona zwierzęca pazerność Mikiety padła na zniewolonego Semeniuka. Wycedził przez zęby: - Teper z toboju pohulaju, myłnkij, a wiedz, że głowę twoją odrąbie ci twój syn Bazylek. Ja to sprawię - dodał.

Słyszając to Janek zachnął się, zacisnął zęby i żeby bandytę nie prosić o życie, począł się gorąco modlić.

- Dawaj jeho siuda! - zakrzyknął hleszczawiecki watażka.

Onufry, chwyciwszy za sznur, którym był skrupowany Semeniuk, podciągnął do potężnej kłody.

- Postaw go na nogi - rozkazał Mikieta - żeby w niebie polską mową Boganie obrażał, obetnę mu język - powiedział herszt bandy, podważając dłutem zaciśnięte zęby Semeniuka. O, tak tak, zaraz ci ulżę sobaczy synu - syknął ujmując w palce język, po którym ciął tuż przy gardle przygotowanym nożem.

Z otwartych ust buchnęła krew, nie wy dostał się natomiast ani jeden jęk bólu.

- Pochodzisz z naszej krwi, nie należałoby cię w taki sposób pozbawiać życia, aleś zasłużył więcej od Lacha - rzekł Medwed - za dużo o nas wiesz. Ponadto przysięgam pomścić Semena i mego psa. Wyświadczę ci też łaskę, gdy ci powiem, że głowę twoją odrąbie ci własny syn, uczyni to za małą chwilę. Dodam, że nie kto inny jak Bazyl odrąbie głowę swojej matce a twojej żonie. Przysięgam, że tego dopilnuję. Przy ostatnich słowach Mikiety wzдрыgnął się Semeniuk, obsuwając się ku podłodze.

- Mdlejesz ze strachu? Takiś odważny? A nasze przestrogi pamiętasz? A prośby świętobliwego księdza parocha pamiętasz? Wpadłeś w nasze ręczki. Bóg to sprawił - naigrywał się Medwed.

- Dawaj pysio, niech go umażę twoją soczewicą, ohydny szpiclu - dodał klękając obok omdlałego ciała. O, teraz cię nie pozna - mruknął umazawszy dokładnie delikwenta jego krwią.

- Żegnaj myłnkij, bo się śpieszę - szepnął, po czym kazał Onufremu przywołać Bazylka. Kiedy obaj stawili się z powrotem, wrzasnął:

- Na dobnju sobaku!

Onufry nie zwlekając w mig ułożył nieszczęśnika głowę na pniu.

- Rubaj! Bazyl! - wrzasnął zwierzęcym głosem Medwed.

I znowu dzięki cerkiewnej starszyźnie dokonana się któraś z rzędu straszliwa zbrodnia. Pomordowane ciała sprzątał Onufry. Bazylkowi natomiast kazano zanieść do księdza Martyluka informację o zwyczajnym wykonaniu planowego zadania.

W połowie drogi przed Sadami zebrała go chęć zajrzeć do domu babci. - "Może ojciec i matka tu będą" - rozmyślał. Mimo że znał dokładnie okolicę, jednak z uwagi na ciemności, ostrożnie szedł w dolinach, by nie wpaść w bezkresne topieliska zwane w tych stronach oknami. Razem z pierwszym paniem kogutów znalazł się w Sadach. Tu przypomniawszy sobie przestrożę pułkownika, ominął dom babki. - Wstąpię, gdy będę wracał - pomyślał.

Tuż przy gmachu sądowym, przeskoczywszy niewysoki mur, stanął na dziedzińcu założonym w tym miejscu stosami pociętego drewna. Po stwierdzeniu, że nie jest szpiegowany, umówionym znakiem zapukał do drzwi plebanii. Otworzyła służąca.

- Ja od pułkownika z Hleszczawy - rzekł półgłosem.

W korytarzu zabłysło światło, zgrzytnęły drewniane rygle, w drzwiach ukazał się paroch.

- Sława Bohu - kłaniając się w pas rzekł Bazylek. Ja wid batka

Medwedzia - dodał.

- Widzę, widzę, wejdzmy do wnętrza - odrzekł duchowny prowadząc gościa korytarzem o ścianach obłożonych zielonymi makatkami, na których spoczywały rozłożyste jelenie rogi. Zatrzymali się w komnacie, gdzie paroch zwykle odprawiał poranne i wieczorne modlitwy.

- Co dobrego przynosisz? - zapytał przyciszonym głosem paroch.

- Pismo od batka Mikiety - odrzekł prostując się młodzieniec.

- Od batka pułkownika Mikiety - poprawił go paroch.

Bazylek pośpiesznie wyciągnąwszy z zanadru zalakowaną kopertę, mamrocząc coś niezrozumiałego, podał ją w bogobojne ręce.

Duchowny pułkownik im dalej zagłębiał się w treść poufnego pisma, tym szybciej zaczął chodzić po pulchym dywanie rozciągniętym na malowanej podłodze.

- Durak, oj durak - nagle wyrzekł dziwnym głosem.

Pewnie coś nabroił Mikieta, kiedy paroch serdytyj - pomyślał Bazyl czekając w skupieniu.

Ksiądz Martyluk, rzuciwszy pismo na stół zarzucony służbowymi papierami, wyciągnął z szafy grubą, czarną księgę, długo w niej czegoś szukał, wreszcie umaczał pióro i kreśląc po kolei długie linie, wyrzekł: - Tego tu nie było. Zrządzenie losu. Żeby to stary Wasyl wiedział, jak mu się odwdzięczyłem za dawną służbę i przywiązanie do naszej cerkwi i sprawy, umarłby po raz drugi.

- Pewnie, że to zrządzenie Boskie - wtrącił się mimo woli Bazylek.

- O tak, mój synu, Boskie to zrządzenie, Boskie - patrząc tkliwie w młodzieńczą twarz, zawołał duchowny.

- Czy chciałbyś coś uczynić dla mnie? - zapytał nagle paroch.

- Jakbym śmiał odmówić, otcze, bylebym mógł podolać zadaniu - odparł Bazylek.

- Ponieważ mam do ciebie zaufanie, chciałbym cię wysłać na Wołyń, do miejscowości, w której mieszkasz. Przyjdiesz tu wieczorem, dam ci kilka listów, które oddasz tam według adresów - dodał ksiądz paroch.

Posłuchanie skończyło się ucałowaniem ręki księdza Martyluka. Na dworze budził się dzień, a lekki zachodni wiatr zdmuchiwał ostatnie lecące mgiełki, ocierając się o dzwon kościelny, wzywający wiernych na Anioł Pański, gdy Bazylek pełen zadowolenia stanął w przydomowym kwietniku babki Józefowej.

Ta nie porzuciła zwyczajów wstawania razem ze słońcem, toteż zobaczywszy wnuka, całując go oznajmiła, że Janek od czterech dni znajduje się poza domem.

- Szuka cię wszędzie, gdyż od miesiąca nie pokazałeś się w domu. Poza tym przyszedł list od Zosi z Wołynia - dodała.

- Co mi tam ona, głodny i zmęczony jestem - odrzekł Bazylek.

Wkrótce okłamując matkę i babkę o swym wandrowaniu po świecie, zmęczony do reszty udał się na stryszek, gdzie zanurzywszy się w zeszlórocznym sianie, zasnął.

Pod wieczór obudzony terkotaniem wozów zeszedł do izby, a natknąwszy się na list od Zosi, zaczął go czytać:

" Mój Ty kochany Królu!

Co się z Tobą dzieje, że nie piszesz, a obiecałeś. Oj Ty niedobry. Jak tu wrócisz, mocno, mocno natrę Ci uszu albo mocno, mocno wycaluję. Tu dzieją się niesamowite rzeczy - zamordowano kilku ludzi. Boję się Bazylku o Ciebie.

Napisz Kochany, czy tam w Sadach spokojnie. Czy nie ma banderowców. Czekam na list. Kończę - całuję Cię mocno.

P.S. Pozdrowienia od moich rodziców. Cześć, czekam, przyjeżdżaj!"

- Co dobrego u niej? Co pisze? - zapytała matka.

- Nic mądrego - opuszczając oczy odparł Bazylek.

- Boże, Boże, mam złe przecucie. Pomyśl Bazylku, ojciec ciągle nie wraca i nikt go nigdzie nie widział. Boję się czy nie wpadł w banderowskie ręce - rzekła Semeniukowa.

- Nie mówili, gdzie lub do kogo idą? - zapytał zaniepokojony młodzieniec.

- Ostatnio zdarzało ci się znikać na kilka dni i dłużej z domu. Domyślaliśmy się różnych rzeczy, a kiedy ojciec zobaczył cię z niejakim Mikietą Medwediem z Hleszczawy, postanowił szukać cię w jego bandzie.

- Prawda to, że służysz banderowcom? - zapytała.

W odpowiedzi młodzieniec, zdjawszy gwałtownie ze swych ramion matczyne ręce, zakrzyknął:

- Nie macie racji, matenka! Wkrótce się wszystko wyjaśni, po czyjej stronie jest słuszność! Chwyć z kolka opończę i wybiegł na podwórko.

Nazajutrz w sieniach, na zamach znaleziono list adresowany do Semeniukowej, po przeczytaniu którego matka zanosząc się płaczem, wołała:

- I znowu tygodniami nie będzie go w domu. Pojechał na Wołyń, do naszego osiedla. Spodziewa się znaleźć tam ojca.

Postanowiła jechać za nimi, toteż w południe, żegnana przez najbliższych, odjechała mieszanym pociągiem do miejscowości Brody, skąd do do celu miała się udać wynajętą furmanką.

ROZDZIAŁ XXVIII

Czyste, lazururowe niebo i ziejący gorącym południowy wiatr wskazywały na długotrwałą, bezdeszczową pogodę. Sprzyjało to sadowianom rozpoczynającym duże żniwa.

Na polach uczyniło się gwarno. Tradycyjnie żyto i pszenicę zbierano na sierp, pozostałe zboża na kosę, układano długie żytnie i pszenne snopki w piętnastki; krótsze, jęczmienne i inne w półkopki.

Jednego pięknego poranka, przed figurą stojącą przy polnej drodze do Feniowych dolin, Fedio Zelenyj z kosą na ramieniu doszedł pobliskiego sąsiada, a że lubił pogawędzić, przy tym dużo kupić, mało sprzedać, począł uskarżać się na cały świat.

- Gdzie się oglądniesz, nieszczęście - rozpoczął - Kto to kiedy słyszał, żeby brat brata mordował, syn ojca lub mąż żonę. Po czym nachyliwszy głowę, rzekł przyciszonym głosem: - Nawet wróble ćwierkają, że udział w tym biorą nasi cerkiewni bracia i księża. Oj, niereligijny to sposób służenia Bogu - westchnął.

- Oczywiście, że niereligijny, a wręcz bandycki - przytaknął Pełechaty, patrząc na śpieszących polnymi drogami żeńców.

Poruszając naprędce pomieszane tematy, wspomnieli o nowych lokatorach, których przybyło im po ostatniej łapance Żydów na Starym Mieście.

- Byłoby nam gorąco, gdyby dowiedziało się gestapo jak tym w Mikulińcach - szepnął Pełechatyj.

- Podobno hitlerowcy przy udziale ukraińskiej policji rzucając tam do spędzonych w koło okolicznych mieszkańców wiązki granatów, zamordowali ponad pięćdziesięciu ludzi.

- Dzieje się coraz gorzej - dodał Zelenyj.

Za "czarnym krzyżem" skręcili na polną dróżkę, gdzie obok leżały dwa nieduże półka żyta przegrodzone tradycyjnie wysoką miedzą porośniętą badyłami piołunów i wrotyczem.

Pierwsza parcelka należała do Zelenego, druga dzierżył Pełechatyj. Pracując obok siebie, dla złapania tchu, od czasu do czasu dorzucali po kilka słów do odbytej rankiem rozmowy.

Okolo południa Pełechaty, poprawiając pokotem leżące snopy, dostrzegł nad Sadami potężny słup dymu. Murowanka jak na zawołanie zaroila się ludźmi. Pełechatyj z Zelenym, zostawiwszy nie poskładane w piętnastki żyto, razem z innymi ruszyli biegiem w Sady.

Palilo się gospodarstwo Kojenki. Strzechy, trzeszcząc w ogniu,

rozpadały się, a ich unoszące się w powietrzu drobne, ogniste platy groziły zapaleniem się sąsiednich budynków. Na domiar złego w pobliskiej studni urwano wachlę, pozbawiając ratowników wody. Pędzono zatem konną "bida" aż w Potoki, gdzie wprost z koryt dla praczek brano wodę wioząc ją czym prędzej gasić rozszalały żywioł.

Co odważniejsi nie czekając na wodę, tłumili ogień ziemią nabieraną łopatami z przydrożnych nasypów. Wiele nie wspomogła nawet miejska straż pożarna, która przybywszy o kilka dobrych chwil za późno i tylko z jednym beczkowozem, bez wody stała się bezużyteczna.

Ku zdziwieniu gapiów Jakub, niedaleki sąsiad Kojenki, uderzając żelaznym drągami w okienne ramy palącego się mieszkalnego budynku, przez wybity przez się otwór wskoczył do wnętrza.

- Diabeł czy opętany? - wrzeszczało.

W niespełna kilka sekund potem przez wytrząskane okno ogamięty płomieniem wyskoczył na zewnątrz na wpółnagi człowiek. Za nim z nadkruszoną butelką wypadł Jahub.

- Puść go! - wołano z tłumu.

Jahub, błysnąwszy nożem zakrzyknął: - Kto z was chce bronić Żyda, niech podejdzie. Nastąpiła chwilowa cisza. Na drodze w asyście dwóch ukraińskich policjantów zjawił się hitlerowski żandarm zwany wśród sadowskich "Gąsiorem". Widząc okrwawionego człowieka, zainteresował się nim tym bardziej, że delikwent był prawie nagi.

- To Jud - kłaniając się w pas, zameldował Jahub - ująłem go w palące się chacie - dodał.

- Gut, gut - klepiąc Fedia po ramieniu mruknął "Gąsior".

- Eling, uciekaj - zakrzyknął ktoś z tłumu.

Niestety, zmasakrowany przez Jahuba człowiek nie był w stanie podnieść się o własnych siłach; zwróciwszy głowę w stronę życzliwego głosu, kilkakrotnie ją pochylał na znak szczerego podziękowania. Niebawem utracił resztkę sił, przewrócił się na trawę. Spostrzegłszy to, hitlerowski żandarm kilkoma strzałami w tył głowy odebrał Elingowi życie.

Wokół dogorywających budynków nastąpiła cisza, ino klekot zbrodniczych strzałów swym echem z pewnością odbił się o cerkiewną plebanię.

Jahub tymczasem, podjawszy się w boki, oczekiwał sprzyjających mu spojrzeń. Niestety setki oczu, patrząc na bohatera dnia, porównywały go z "Gąsiorem" - faszystowskim tyranem i oprawcą. Wielu, odwracając się od odrażającego widoku, wypowiadała słowo: "swolocz". Nawet szef złoczyńców hitlerowskich, odchodząc z placu nieszczęść, nie raczył go

obdarzyć podaniem ręki.

Brak wody i należytej organizacji przeciwpożarowej spowodowały, że do godzin przedwieczornych z kilku budynków gospodarstwa Kojenki zostały wzgórkami żarzącego się jeszcze zgłiszcza.

Nazajutrz w miejscowej prasie, na przedniej stronie, ukazał się artykuł obwiniający nieboszczyka Elinga za spowodowanie pożaru obejścia Kojenki. Tego też dnia w obawie przed karą za przechowywanie Żydów Kojenki gdzieś się zapodział, nie dając o sobie żadnych wiadomości aż do marca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Przebąkiwano tu i tam, że czasu nie marnuje, że znalazł chwalebne miejsce w partyzantce.

Okolicę ogamęła psychoza strachu. Kościoły zapelnily się wiernymi, modlącymi się o oddalenie kary Bożej. Ksiądz paroch nie pozostając w tyle, również zadbało zbawienie dusz ludzkich; zarządził wśród wiernych cerkwi spowiedź generalną.

W najbliższą niedzielę, trzymając się swej kolejności, do cerkwi po odpuszczenie grzechów udał się też mieszkaniec z ulicy "Grabina" Michał Kwiczun. Ucieszył się wielce, gdy spowiednikiem jego okazał się sam ksiądz paroch.

- Przynajmniej przed starszym i sprawiedliwszym duchownym otworzę sumienie - pomyślał.

Dopelnivszy wstępnych modlitw, wyluszczył wszystko, co uważał za grzech i oczekiwał rozgrzeszenia.

- To wszystko? - zapytał spowiednik.

- Wszystko - szepnął Kwiczun.

- O nie, hołubczyku, nie wszystko. A kto za ciebie będzie dawał na "Dzwinek"? A to, że Lachów i Żydów przechowujesz, to nie grzech? A to, że Tereskę, żonę twoją, z kościoła do cerkwi nie przewiodłeś, to nie grzech? Najwyższy miałby mi za złe, gdybym udzielił ci rozgrzeszenia. Zataiłeś największe przewinienie względem cerkwi i matki ojczyzny. Wstań i idź, uczyni wszystko, aby dusza twoja wybielała, później przyjdiesz po rozgrzeszenie i pokutę.

Kwiczun poderwał się jak oparzony. Rozglądając się wokół, czy przypadkiem ktoś ze znajomych nie słyszał uraglijnych słów parocha i tego, że odchodzi od konfesjonatu bez rozgrzeszenia i zadanej pokuty. Sięgnął po rękę spowiednika, ucałował ją nabożnie, po czym chwiejnym krokiem opuścił Dom Boży. Za bramą doznał uczucia, jakby go wyrzucono z cerkwi.

- Nawarzyłem niedobrego piwa - pomyślał, zastanawiając się nad każdym, pouczającym słowem parocha.

Zanim stanął na własnym podwórku, postanowił następną spowiedź odbyć w innej cerkwi. Toteż w najbliższą niedzielę jeszcze załawieckie bramy tamtejszej cerkwi były zamknięte, gdy się tam zjawił. Gdzieś obok dzwon ogłaszał Anioł Pański, kiedy otworzono cerkiewne furty. Ucieszony tym Kwiczun przysiadł na ławie pod amboną, odmawiając przedspowiednie modlitwy. Po chwili do konfesjonału wszedł średniego wzrostu, pochyły, o białych jak mleko włosach duchowny. Kwiczun, nie chcąc tracić ewentualnej kolejki, ukląkł na klęczniku, oczekując przyjęcia spowiedzi.

Po ukończeniu przez księdza staruszka porannych modlitw zaczęli rozmawiać półszepem. Michał, nie tając żadnych przewinień, wyznał między innymi, że na "Dzwinok" nie płacił, że przechowuje u siebie Żydów i że nie przeniósł z kościoła do cerkwi metryki Tereski. Wyczerpawszy litanię swych grzechów, poprosił o rozgrzeszenie i pokutę.

Duchowny, odmówiwszy spowiednie modlitwy, rzekł łagodnym głosem:

-Niepłacenie składek na "Dzwinok", mój synu, nie jest grzechem. Nieprzeprowadzenie metryki małżonki z kościoła do cerkwi też nie jest grzechem, bowiem tu i tam wierzymy w tego samego Boga i jego świętych. Natomiast za ukrywanie Żydów w dzisiejszej dobie zasługujesz na chwałę Bożą, a nie potępienie.

Uczyniwszy znak krzyża, rzekł donośniej:

-Idź w pokoju i pomnażaj dobre uczynki. Za pokutę niech Bóg policzy ci przebyta do tutejszej cerkwi drogę.

Kwiczun, dokonawszy pospowiedniej ceremonii, całując stulę i rękę duchownego ukląkł pod "carskie wrota" i zamiast odmawiać odpowiednie modlitwy - rozmyślał nad odbytą spowiedzią.

Tymczasem cerkiew wypełniała się wiernymi, głównie jednak mężczyznami. Widocznie pozostała część tutejszej ludności bierze udział w nabożeństwie południowym w tak zwanym "Wetyka".

Sygnaturka i miękki głos organów oznajmiał rozpoczęcie porannego nabożeństwa odprawianego przez duchownego staruszka. Kwiczun słuchał i patrzył jak urzeczony.

-Te same modlitwy co u nas, te same pieśni nabożne, a jednak inne - rozmyślał.

W trakcie nabożeństwa, po odczytaniu Ewangelii ksiądz staruszek wszedł na ambonę, przekazał wiernym Słowo Boże, w tym pociechę dla chorych i przestrożę dla tarzających się w grzechu. Słuchano go z wielką uwagą, bowiem mówił nie tylko o sprawach nieba ale też o sprawach doczesnych. Między innymi poruszył sprawę organizacji banderowskiej, nakłaniając wiernych, by zaniechali w niej jakiegokolwiek udziału.

-Biorący w niej udział - mówił - łamią przykazania Boże, szczególnie "nie zabijaj", trzymając konszachty z ludźmi złej woli. Przynoszą naszej cerkwi wstyd i hańbę. Wiadomo mi jest na przykład, że najbliższej nocy pewna grupa tejże organizacji ma wziąć udział w napadzie na śpiących i niewinnych ludzi sąsiedniej wsi. Zaniechajcie - proszę - tego. Powiadam, że krew przelana niewinnie zawoła o pomstę do nieba. Zabierzcie zza ołtarzy cerkwi śmiercionośną broń. Błagam was w imieniu...

Nie dokończył wypowiedzieć zamierzonego słowa, bowiem tuż obok głównego wyjścia ktoś wrzasnął:

-Pali się! Uciekać! Jednocześnie z poruszonego tłumu padł strzał. Dostojny starzec, chwyciwszy się za pierś, zawołał umierającym głosem:

-A jednak zaczęliście. - Skłonił głowę i skonał.

W godzinę potem starszyzna, sumując sukcesy odbytego nabożeństwa, za najważniejszy uznała śmierć upartego księdza staruszka. Stratowanych - staruszkę i dwoje małych dzieci - uznano w tym przypadku za zło konieczne.

Wśród wystraszonych ludzi znajdował się też Kwiczun. Dzięki sile, jaką obdarzyła go natura, znalazł się za ołtarzem obok ministranta. Był świadkiem śmierci pocziwego księdza. Widział braci cerkiewnych znoszących z ambony ciało nieboszczyka i płaczące za nim kobiety i dzieci oraz nieboszczyków wyprawionych na drugi świat celowo wywołanym tumultem.

Wydarzenie niezwykle zakonotował głęboko w pamięci, by opowiedzieć o nim niebawem komu trzeba. Krytycznego dnia wracając ze spowiedzi, na wysokości krawędzi monasterskiego lasu i zielenieckich półujrzał kilkunastoosobowy oddział jeźdźców. Chcąc być niewidocznym, czym prędzej legł na ziemi, czołgając się do najbliższego zagonu ziemniaków.

-Dzięki ci wielki Boże - żegnając się szepnął, gdy minął go ostatni jeździec.

-Ach, żeby tak można było ostrzec tamtych we wsi. Niestety, za późno - pomyślał.

Prawie pod wieczór znalazł się we własnym obejściu. Czując ogromne zmęczenie, wypił garnuszek świeżo ugotowanego mleka i udał się na bróg w tegoroczne siano.

Nad okolicę nadciągały lotne chmurki. Zapowiadała się zmienna pogoda. Jednak około północy lekki, zachodni wiatr przepędził gromadzące się chmury, zostawiając nad Sadami gwiaździste niebo. W dużej mierze ucieszyło to wartowników pilnujących ludzkiego dobytku. Właśnie jeden z nich spostrzegł wystrzeloną z rakiety czerwoną smugę, która po

osiągnięciu przeznaczonej sobie wysokości poczęła obniżać się i wkrótce zgasła wśród plebanowskich chat. Jednocześnie martwotę nocnej ciszy przerwał dziwny wrzask ludzkich głosów.

Do kilkunastu mieszkań plebanowskiej wsi wdarła się kilkunastoosobowa grupa banderowców. Szalał Brezdeń, tamtejszy gospodarz, herszt jednego z oddziałów Bandery trzymając w ręku polecenie zwierzchnika, sprawdzał, czy wszystkie mieszkania ujęte rozkazem znalazły się w tym wypadzie w rękach "siczowników". Dla siebie wybrał chałupkę stojącą samotnie na glinianym szcząbie - gdzie nie przeczuwając nieszczęścia, otworzyła mu stara Szczepanycha. Za hersztem do izby weszło jeszcze dwóch innych rzezimieszków, krzycząc zwierzęcym głosem: - Lemajda, wylaź!

Ku ich zdziwieniu w izbie oprócz trzęsącej się ze strachu Szczepanychy nie było nikogo.

- To niemożliwe, szukajcie w każdym zakątku, nawet na strychu - huknął Brezdeń.

- Chryste! - zakrzyknął nagle któryś z zamaskowanych napastników, padając na glinianą podłogę.

- Żywoho wzięty - świecąc latarką wrzasnął Brezdeń.

Tymczasem Lemajda po raz drugi śmignął zza szafy żelaznym prętem, tym razem ubiegł go, dzięki światłu, drugi napastnik, wytrącając z rąk obronne narzędzie. I zanim Władek zdążył uskoczyć za piec, huknął strzał, raniąc go w prawe udo. Oprawcy z wilczą łapczywością rzucili się na rannego, wiążąc mu ręce i nogi.

- Na ławu jeho - zawołał Brezdeń, rozwijając rulon wyostrzonej piły. A teper Lachu bude tobi ciepło - syknął zatapiając przy kolanach delikwenta naciągniętą na sprężysty kabłąk piłę.

Tymczasem któryś z cerkiewnych braci, kneblując mu usta, wyciszył rozpaczliwe łkanie. Po czym nasyciwszy się widokiem kilkakrotnie porżniętego człowieka, zostawiając na jego zwłokach kartkę z napisem: "Tak karaje Ukraina Lachiw", nie zapomniawszy odebrać strzałem życia starej Szczepanychy, opuścili dom zgrozy.

O wschodzie słońca pupil duchownego pułkownika meldował swemu watażce wykonanie zadania w plebanowskiej wsi. Paroch, lubując się w tego pokroju relacjach, bez żadnych wstępnych ceremonii pozwolił Brezdeniowi wypowiedzieć się w detalach.

- Uśmierciliśmy dwunastu na trzydziestu zamierzonych - rozpoczął herszt plebanowskiej grupy. Dziesięciu, przeczuwając strach, uciekło zawczasu w ogrody, ośmiu nocowało poza domem, ale niebawem i tych dosięgnie moja ręka - chętnie się zwyrodniał morderca.

- Oby was tylko nie uprzedziła ich licznie działająca Armia Krajowa - odrzekł paroch. A chodzą słuchy, że w odwet czynią niemałe spustoszenie wśród naszych małołojców - dodał.

- Strachy na Lachy, otcze - odrzekł Brezdeń. Oni boją się swego cienia i co tu mówić o odwecie. Było zobaczyć, jak podczas akcji prosili o życie, aż dziw bierze, że się odważyli. Tym zadawaliśmy trudniejszą śmierć na przykład wbicie na pal czy obdarcie ze skóry.

Kolejnym sprawozdawcą był Medwed z Hleszczawy. Ten w kilku słowach przedstawił przebieg akcji kierowanej przez niego we wsi Iwanówka i przysiółku Chatki.

- Słabo nam poszło - powiedział wyliczając kolejno nazwiska pomordowanych. Było ich sześciu.

Po zakończeniu obowiązkowych meldunków paroch, jak zwykle w ramach podziękowania, wygłosił prawie modlitewną mowę.

- Dzisiejszą noc poświęciliście, bracia, wielkiej sprawie. Nie ma lepszej drogi jak szybkie wybieranie z pszenicy kąkolu - zabezpieczając sobie w ten sposób przejrzysty front działania. Ojczyzna i cerkiew błogostawią wasze wysiłki. Toteż im prędzej będzie ona oczyszczona z naleciałości, tym prędzej staniemy się wielkim, liczącym się w świecie państwem. Wierzę, że w tym nie zawiedzie nas nasza organizacja wielkiego Bandery. Wierzę też, że nie zawiedziecie i wy sami - rzekł na zakończenie, patrząc stojącym druhom w oczy. Starszyzna, jak na komendę, podnosząc w górę prawicę, zawołała: - Przysięgamy, otcze, jak Bóg na niebie - nie zawiedziemy.

- A cóż to ranny - zapytał paroch Brezdenia, zobaczywszy na jego wyciągniętej ręce zakrwawiony bandaż.

- Nic wielkiego - odrzekł - to pamiątka dzisiejszej nocy. Jeden z tych ohydnych Lachów w chwili, gdy rozdierałem mu pysk, nie bacząc na sprawiedliwość Bożą, chwycił zębami za moje dwa palce i niby zając trawę odgryzł w mgnieniu oka. Za moje cierpienie Bóg go skarał - nie szybko skonał. Topiliśmy go w gnojówce przez dobry kwadrans, po czym z wbitym w brzuch kolkiem zdechł na gnoju.

- Szkoda, że cię to spotkało, pamiętaj jednak, że Bóg, ojczyzna i wielki Bandera w niedługiej przyszłości za wszystkie poniesione przez was cierpienia będą wynagradzać - rzekł na pocieszenie paroch. Po czym zebrana na plebanii starszyzna, chcąc podziękować Bogu za okazane dotąd łaski, przemieściła się do cerkwi pod "carskie wrota".

W kilka dni potem, w przedpołudniowych godzinach, przy dźwiękach kościelnych dzwonów, z Plebanówki na trembowelski cmentarz prowadzono ciała pomordowanych Polaków. Na czele konduktu

pogrzebowego szedł dziekan tamtejszej parafii polskiej ksiądz Szytelnicki.

Za niespełna tydzień grupa Armii Krajowej na plebanowskich mordercach w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej w odwet wykonała kilka wyroków, pamiętając o Brezdeniu i jego pomocnikach.

Tym razem kondukt pogrzebowy prowadził paroch cerkiewnej parafii ksiądz Martyluk.

ROZDZIAŁ XXIX

Pięknego, letniego poranka na bocznicę trembowelskiej stacji kolejowej zostały podstawione dwa pociągi. Na jednym przykryte wojenną woalką widniały "Tygrysy", w drugim w mieszanych wagonach panoszyli się niemieccy żołnierze. Ich świszczący oddech świadczył, że większość z nich spała. Nad bezpieczeństwem obu transportów czuwała dość liczna grupa wartownicza rozstawiona na międzytorzu i wzdłuż drewnianego parkanu osłaniającego stację od miasta.

Obok pompy wodnej, na kanale, dobierając wody, stał niemieckiej marki parowóz z polską obsługą. Miejscowi kolejarze, korzystając z chwilowej nieobecności banschutzów, zawierali z obsługą tegoż parowozu transakcję węgiel-słoninową lub węgiel-masłową, a w najgorszym wypadku węgiel-gorzalkową.

Jako drugi w kolejce po czarne złoto, kręcąc się wokół parowozu, oczekiwał Przybylski. Tym razem szczęście mu nie dopisało. Na stację niespodziewanie wbiegło kilkadziesiąt osób różnej płci i wieku, żydowskiego pochodzenia. Większość z nich spieszyła wprost pod wagony, kilku wpadło na tender, zagrzebując się w grudkach węgla, wielu natomiast skryło się w gęstych krzakach żywopłotu, okalającego stację od wschodniej strony. W ślad za uciekającymi biegła zgraja rozjuszonych SS-manów w towarzystwie ukraińskiej policji, trzymając na długiej smyczy tresowane wilczury. Nastąpił niesamowity widok. Rozległo się żalosne wołanie małych dzieci. Trzymających się kurczowo pod wagonami ludzi rozszarpały podszczuwane psy. Posypały się strzały. Tu i tam w przedśmiertelnych konwulsjach kończyło życie kilkunastu ludzi. Tymczasem, ku zdziwieniu Przybylskiego, pod budką zwrotniczego zjawił się pies SS-mański, dźwigając w zębach ludzką niemowlę.

- Psia mać! - zakrzyknął Józef, kopiąc jednocześnie z całej mocy wilczura obok ucha. Zdezorientowany pies wypuścił z zębów wrzeszczącego malca, z czego korzystając Przybylski w mgnieniu oka ustawił go w skrzynce na węgiel, znikając następnie w żywopłocie, ciągnącym się od wschodniej strony stacji w dół do potoków.

W godzinę potem SS i ukraińska policja, zostawiwszy służbie stacyjnej zabitych i rannych wyprowadziła na Stare Miasto osiemdziesiąt sześć na wpół żywych jeszcze istot.

Tego dnia, około południa, oddział SS-manów w asyście kilkunastu małojców spod znaku tryzuba wyprowadził z tutejszego "getta" - w

przybliżeniu około tysiąca ludzi. Ostatnia ich droga wiodła przez most nad Gniezną, obok kościoła Karmelitów, nieco dalej obok cerkwi, na wprost ulicą Legionów, po czym Zaleszczycką aż do Plebanówki.

Zza parkanów, żywopłotów i różnego rodzaju osłoniętych ogrodzeń wzrokiem odprowadzało ich miasto. Na wysokości kina Mikołaszka, z konduktu idących na stracenie ludzi, wybiegło nagle kilku młodych mężczyzn. Dwóm z nich udało się sięgnąć rzecznej osłony, czterech natomiast trafiły SS-mańskie kule, zanim przebiegli widoczną część bocznej uliczki. Za "Białą Figurą" przed oczami skazańców ukazały się plebanowskie góry, wzdłuż których na płaskowyżu białe długie, świeżo wykopane, piaskowe doły.

Co chwila ktoś próbował ucieczki, za każdym jednak razem ginął od kuli strażników. Na drodze przecinającej tor kolejowy Abramko Aszkienazy - mężczyzna zwany Siłaczem - pragnąc spróbować ucieczki, chwycił nagle idącego obok strażnika. Okręciwszy nim wokół siebie, rzucił go z całej siły na stalowe szyny. Rozpuścił nogi i zanim zdołano ponownie sformować szeregi, nie trafiony przez żadnego z oprawców, znalazł się za kolejowym nasypem. Niestety tuż za znakiem rogatki uciekającego spostrzegł stojący na straży Fedio Jahub, który pierwszym strzałem pozbawił go życia.

Wkrótce kondukt żywych jeszcze ludzi, pilnowanych przez dobranych katów, stanął na miejscu kaźni. Tu, na rozkaz oprawców, po kilkunastu kolejno, zdejmując z siebie odzienie, stawali nago nad głębokim dołem. Terkot maszynowej broni gasił ich życie. Jeszcze tu znad dołu wielu próbowało ucieczki, jednak uformowany tam teren nie sprzyjał uciekinierom. Za każdym razem już po kilkunastu krokach ginęli, a ciała ich znosili do przygotowanych dołów młodzi ludzie, oczekujący w kolejce po śmierć.

Wzruszający widok miał tam miejsce prawie przy końcu nieludzkiej masakry, kiedy ośmioletnia dziewczynka, córka nauczycieli, będących wychrztaami w drugim pokoleniu, prosiła komendanta egzekucyjnego oddziału o życie, obejmując rękoma jego kolana.

Stojący dotąd w bezruchu szef katów skinął na pobliskiego żołdaka, ten zaś bez skrępowań ujął dziecko za włosy, podprowadził nad dół. Tu zniemacka strzelając dziewczęciu w tył głowy, wypełnił co do joty rozkaz komendanta.

- Coś niesamowitego - rzekł Luszyna do Przybyłskiego, gdy na plebanowskich górkach zamilkły ostatnie strzały katów.

'Obydwaj zaszyli w gęstwinie dzikich krzewów ponad kilometr od miejsca kaźni, obserwowali okrutny wyczyn hitlerowsko - ukraińskich

złoczyńców.

- Dałby Bóg, żeby ich na Wschodzie dobrze przetrzepano - odrzekł Przybyłski.

W drodze do domu Luszyna nadmienił, że rankiem obok swego domu znalazł syna Rosi leżącego na drodze. Nie mógł samodzielnie ustać na nogach, gdyż obydwie miał przestrelone. Zatem przyciągnął go do izby, zrobił, co trzeba i oddał pod opiekę we właściwe ręce.

- Za przechowanie Żydów hitlerowcy grożą śmiercią - powiedział.

- Mnie też się przydarzyło dzisiejszego ranka - zaczął Przybyłski o tym, jak psu z gardła wydarł żydowskie dziecko, taszcząc go następnie w bezpieczne miejsce i dzięki krzakom przedostał się przez kordon SS-manów.

Rozchodząc się przyrzekli, że wieczorem, według ustalenia, będą obecni w sadowskiej szkole na dyżurze organizowanym przez podziemną organizację Armii Krajowej. Wspomniany gmach, zbudowany z kamieni i cegły, miał służyć pobliskim rodzinom polskim za schronienie przed ewentualnym napadem banderowców.

Tego dnia, niebawem po zachodzie słońca, ku zdziwieniu już obecnych, do głównych drzwi zapukał Michał Kwiczun.

- Wy czego, Kwiczun? - zapytał Luszyna sprawujący tej nocy społeczny urząd komendanta.

- Prosiłbym, byście na dzisiejszą noc pozwolili mi zostać przy was. Jak wiecie, mają mnie za Ukrainca lub, jak kto woli, za Rusina. Sprzeniewierzyłem się im, więc szukają sposobności, by mnie zgładzić.

Z pomocą przyszedł mu Trzaska, poręczając za niego, w związku z czym Kwiczuna przydzielono do grupy obrońców dowodzonych przez Trzaskę, która miała zabezpieczać część budynku od strony północnej.

Podkomendni, wśród nich wielu Akowców, uzbrojeni w motyki, kosi, widły i żelazne pręty, pełniąc wartę przy poszczególnych oknach i drzwiach, mieli zwracać baczność na ewentualny ruch banderowskich jednostek. Nie od rzeczy będzie dodać, że z "wierchówki" prawie każdy był w posiadaniu niepośledniej jakości broni palnej. Toteż samopoczucie chroniących się tu każdej nocy ludzi było dość miernie.

Okolo północy wartownik siedzący w dachowej wieżycze zasygnalizował dzwonkiem zbliżające się niebezpieczeństwo. Po wysłuchaniu jego relacji stwierdzono, że obok posesji Mendenków, w dół, połąną drogą, w kierunku wsi Boryczówka, posuwa się dość liczna grupa ludzi. Oceniono ją na dwieście osób.

Przybyłski, domyślając się zamiarów maszerującej grupy, niezwłocznie odbył minutową konferencję z Luszyną, ustalając, że

najważniejszym będzie przed czasem powiadomić boryczowskich o grożącym im niebezpieczeństwie. Luszyna, oddawszy komendę obronną w szkole Przybylskiemu, nie szerząc wśród zebranych defetyzmu, wyskoczył przez okno i popędził w kierunku obejścia starego Krawczuka. Na dworze zaczął mżyć drobny deszczyk.

- Dobrze, że pada - pomyślał otwierając drewnianą zasuwę stajni.

Niebawem trzymając się grzywy Karego, popędził Skalaćką, później Grzymałową Doliną aż do pierwszej chałupki boryczowskiej wsi. Tymczasem Przybylski w obawie, że Luszynie po drodze może przydarzyć się jakieś nieszczęście, postanowił z Trzaską ruszyć mu z pomocą. Oddawszy komendę Drozdowskiemu, poprosili tu obecnego gospodarza Świderskiego o konie. Ten, wyzwawszy ich od gnojków, odmówił. Toteż Trzaska uważając rozmowę ze Świderskim za stratę czasu, pognał na obejście Świderskiego, skąd za krótką chwilę na jego koniach pędzili na przelaj w kierunku przysiółka Dębina. Przeczuwając, że banderowcy uderzą od strony Krowinki i Łoszniowa śpieszyli wjechać do wsi od strony wschodniej. Luszyna tymczasem znalazłszy się w dolinach nad rzeczką, zachowując bezwzględna ostrożność, posuwał się w kierunku pierwszych chat od karmelickiego lasu. Tuż przed topolami, słysząc ciche człapanie koni, począł się skradać ku dwóm zbliżającym się ceniom. Wytężając słuch i wzrok, rozpoznał Przybylskiego i Trzaskę.

- Co się stało, że opuściliście tamtych w szkole? - zapytał szeptem.

- Uznaliśmy, że tu jesteśmy potrzebniejsi - odrzekł Przybylski.

Luszyna chciał już zapytać, jak zdobyli konie Świderskiego, lecz nagle zza którejś topoli nad rzeczką huknął ktoś tubalnym głosem: - Stój, bo strzelam! I dodał: Kto idzie?

- Swoi - odrzekł Luszyna, kładąc się na ziemi.

- Ach to wy, Luszyna - zawołał nagle tamten - jestem Smoliński, okresowy wartownik.

Po chwili wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa wartownik wraz z przybyłymi ze Sadów Akowcami budząc, zmusili wieś do stania na czatach. Kobiety z dziećmi zostały w domu.

Nad niezwłocznie zorganizowaną obroną komendę powierzono Luszynie. Wszystko odbywało się w bezwzględnej ciszy. Po około godzinnym oczekiwaniu zdawało się, że wywołany alarm okazał się fałszywy, gdy od strony karmelickiego lasu rozstawione straże doniosły, że w oddali majaczy grupa zdążających w naszym kierunku ludzi. Istotnie niebawem rozległo się dość głośnie mlaskanie nóg w rozmiękłym błocie, niekiedy siarczyste przekleństwo podpitych złoczyńców, niekiedy też

zgrzyt niesionej broni uderzającej przez nieuwagę o wystające na miedzach kamienie.

Banderowcy, złoczyńcy, jak wszędzie i zawsze zamierali zawładnąć wsią pogrążoną we śnie. Już ich lewe skrzydło sięgało pierwszych topoli, gdy nagle przed nimi wytrysło dziesiątki białych rakiet, jednocześnie z poszczególnych ukrytych stanowisk gruchnęło kilka strzałów. Takiego stanu rzeczy Mikieta Medwed - bo on to prowadził bandę - się nie spodziewał. Myślał, że Lachów boryczowskich zastanie we śnie i pohula z nimi po tatarsku.

- Nabral mnie Bereza, że nie zastanę tu żadnej warty - mrucał, myśląc jednocześnie o odwecie na Berezy skórze.

Nie mając zatem innego sposobu, jak całą siłą ruszyć do przodu lub odstrzeliwując się szybko, odstępować, wybrał to pierwsze. A że kipiała w nim zbójcka dusza, rozkazał podpalić pierwsze przy drodze budynki i przy ich łunie kontynuować zamierzone dzieło.

Nie ubiegli i stu kroków do przodu Medwedowi wojacy, gdy jakby spod ziemi zaczęły wyrastać kosy, widły, siekiery i młotki na metrowych styliskach. Kottowało się w ciemnościach. Zdarzało się, że uderzał swój w swego.

Luszyna, będąc przy rakielnicy, od czasu do czasu wypuszczał białe smugi światła, orientując obrońców, gdzie i jak uderzać. Boryczowskich ciągle przybywało. Nawet co młodsze i odważniejsze kobiety z dragami w ręku zza topól dzwoniły niekiedy atakujących zbrodniarzy.

Mikieta wkrótce zorientowawszy się, czego czeka, rozkazał odwrót. Za cofającymi się posypał się grad kamieni oraz kilka pocisków z niegwintowanej lufy. Mimo pośpiechu Medwed opuszczając pole walki, uważnie pozbierał swych poturbowanych. Boryczowscy cudem wyszli cało. Za ledwie kilku uległo draśnięciu przez banderowskie kule.

Przed świtem, po uchwyceniu pierwszego oddechu, trzymając wartę w pogotowiu, boryczowska starszyzna łącznie z komendantem grupy Armii Krajowej, na ręce trzech trembowelskich Akowców: Luszyny, Przybylskiego i Trzaski złożyła pełne szczerości podziękowania.

Świtało, gdy Grzymałowską Doliną trzech jeźdźców rozglądając się wokół podążało truchcikiem w kierunku Sadów.

- Będzie kłopot za porwanie koni - rzekł Trzaska.

- Nie będzie, Świderski nie taki. Bogacka to dusza, ale polska. Szwabów i banderowców nie znosi, a to się liczy - odrzekł uspokajająco Luszyna.

ROZDZIAŁ XXX

Semeniukowa zapatrzona w sunące od zachodu szare chmury, siedząc na stołku pod rozłożystym drzewem, z gazetą w ręku, wciąż oczekiwała męża i syna. Ogamięta o nich myślami ciągle żyła nadzieją, że za chwilę tu się zjawią.

Rozmyślania te przerwał przy głównej furtce delikatny głos dzwonka. Wiedziona ciekawością podeszła do bramki, wpatrując się jednocześnie w oczekującego przybysza. Tamten po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi, że znajduje się na posesji Semeniuków, rozglądając się, oddał jej list od Franka. Semeniukowa zapomniawszy ugościć przybysza, natychmiast zanurzyła się w treści listu.

"Najdroższa Sostro! - pisał Franek - Na pewno zdziwi Cię, że piszę spoza domu. Razem z wieloma innymi trembowlanami znalazłem się w partyzantce i tu skutecznie walczyliśmy na tyłach z wojskami hitlerowskimi, a niekiedy trzepiemy też skórę oddziałom Bandery. Janka dotąd nie spotkałem, chociaż mam nadzieję, że go wkrótce spotkam. Bazylka też nie spotkałem, ale ten, wiesz, urwipoleć i już. Uważam, że mu to przejdzie i wróci do domu. A może jak i ja zwerbował się do któregoś z partyzanckich oddziałów. A może już siedzi kapcem w domu? Trudno wyczuć. Nie namawiam Cię usilnie, ale wolałbym, żebyś pojechała do Sadów. Wydaje mi się, że tam spokojniej aniżeli w wołyńskich lasach. Po przeczytaniu niniejszego listu porwij go lub oddaj oddawcy - zrób to dla Twego i jego bezpieczeństwa. Całuję Was wszystkich. Do szybkiego zobaczenia się z całą rodziną. Franek."

Po powtórny przeczytaniu Semeniukowa, oddawszy list wręce przybyłego młodego mężczyzny, prosiła, by ten rzekł Frankowi, że z tutejszego osiedla nigdzie się nie ruszy, że tu będzie czekać na obydwoh do końca wojny. Widząc wymizerowaną twarz oddawcy listu zapytała o jego rodzinę.

- Miałem żonę i trzech ślicznych chłopców od dwóch do ośmiu lat, matkę, ojca - odrzekł - niestety pół roku temu banderowscy mordercy przechwyciwszy ich we śnie, zamordowali. Ja wówczas pełniąc wiejską wartę, ocalałem, dzięki czemu znalazłem się w partyzantce, gdzie mam nadzieję pomścić tych, których straciłem - dodał wycierając rękawem zroszone łzami oczy - wybaczenie, że się rozmięknę - rzekł, całując jej dłoń. -

Do widzenia - zawołał z cicha znikając następnie za drzewami

pomrukującego odrazą boru.

Semeniukowa, odurzona listem i słowami partyzanta traciła resztę sił. Idąc do mieszkania, kilkakrotnie przewróciła się o wystające na podwórku płytki kamienne. Zobaczywszy to, Zosia z sąsiedniego domu przybiegła z pomocą, zaciągając ją do mieszkania na łóżko. Naprędce zaaplikowała jej odpowiednią dawkę kropli nasercowych, a kiedy Semeniukowa, wracając do życia, otworzyła oczy, zaproponowała nocleg u siebie, w domu Wallów. Sterana zmartwieniem kobieta odmówiła, tłumacząc, że w każdej chwili mogą wrócić mąż i Bazylek.

Zosia, biegnąc do domu, spostrzegła obcego osobnika, zdążającego w kierunku przystanku kolejowego. Fizjonomią swą przypominał człowieka spotykającego się niekiedy z Bazylkiem obok "świętych dębów".

- Coś się tu złego święci - pomyślała. Wchodząc do domu nie omieszkała zwierzyć się z tego ojcu. Walla, jak zawsze, rozsądny i nad wyraz spokojny, głaszcząc jej główkę, uspokajał.

Okolicę ogarniał cichy, bezwietrzny wieczór. Jedyne Klimczuk, miejscowy wartownik, człapiąc po drodze rozlazłymi butami przerywał dziwnie spokojną noc. Z chwilą ukazania się na niebie małego wozu, owinąwszy się ciasniej opończą, przysiadł nad rowem odpocząć.

Jak nigdy przedtem, gdzieś z pobliskiego lasu doszły go dziwne dźwięki i szmer ludzkiej mowy.

- Jakie лихо - pomyślał podnosząc się znad rowu. Zamierzał uczynić ponowny obchód osiedla, gdy nagle jego ramieniem targnęła czyjaś ogromniasta ręka.

- Nie ruszaj się! - rzekł ktoś jednocześnie, przygarniając go ku sobie, po czym dwukrotnym uderzeniem noża pozbawił go życia.

Chwilę potem kilku banderowskich wyrostków, chwyciwszy delikwenta za ręce i nogi, unieśli za drugą aleję leśną, gdzie zakopali w płytkim dole, przykrywając jedynie ubiegłoroczną trawą i liśćmi. Następnie śpiesząc się za każdy parkan wrzucili zatrutą wędlinę. Przed świtem w obawie krążącej opodał ruskiej partyzantki lub oddziału Armii Krajowej umknęli do "Czarnego Boru", gdzie zwykle zbierały się sotnie banderowskich hord.

W godzinę później nie warknął żaden podwórzowy pies, toteż już w rannych godzinach wszczął się ogromny lament. Szczególnie płakały gospodynie domu i małe dzieci, tuląc do siebie zamordowane nocą psy.

Niebawem wyłoniona spośród młodzieży żałobna grupa punktualnie w południe w lesie, w jednym dole pochowała swoje pupile.

Osiedleńcy, widząc, co się święci, mimo łączności z ruską partyzantką, postanowili na naprędce zwołanym zebraniu już od zaraz

zwiększyć liczbę wartowników odpowiednio wyposażonych w niezbędne akcesoria. Pod wieczór osiedle obiegła wieść o zamordowaniu Klimczuka. Postanowiono, korzystając z kolejowego telefonu, zawiadomić o tym fakcie odnośnie władze, czemu sprzeciwiając się, dyżurny ruchu powiedział, że w dzisiejszej dobie władzy nie interesują porachunki ukraińsko - polskie. Zalecił, nie czyniąc zbytniego rozgłosu, odpowiednio pochować nieboszczyka. Ponadto być ostrożnym i na noc zbierać się w jednym miejscu przed ewentualnym napadem banderowców. Nazajutrz przy dość kapryśnej pogodzie na miejscowym cmentarzu pochowano ciało Klimczuka, zachowując przy tym największą czujność. Pod wieczór, pamiętając ostrzeżenie kolejarza, miejscowi osiedleńcy, przygotowani do nocnego wartowania, barykadowali się z osobna we własnych domach. Mimo że leśniczy Walla był za inną koncepcją, a mianowicie wartowania po kilku sąsiadów razem, w jednym domu, pozostał u siebie. Wyjął z ukrycia dubeltówkę, przysposobił większą ilość naboju, po czym zabierając się do sprawdzania drzwiowych i okiennych zamków, zauważył u Semeniuków, jak mało kiedy przedtem, rozświeconą lampę.

- Pewnie wrócił któryś - pomyślał, postanawiając nagle wejść na ich posesję. Za bramą spostrzegł, że nie poczyniono tu żadnych przygotowań obronnych, gdyż furka, stajenka, kumik i drzwi od sieni stały otworem.

- Ejże, Semeniukowa! - zawołał wchodząc do izby. Dlaczego świecicie na całe szkiełko ósemkę, kiedy piątka wystarczy, no i brama i kumik nie zamknięte, nie mówiąc o sieni.

- Świecę panie leśniczy, bo za chwilę przyjdzie mój mąż i Bazylek. O, zobaczcie, oni tam stoją - dodała.

Walla, spojrzawszy uważniej w oczy sąsiadki, skonstatował, że jest z nią gorzej jak źle, kobietę ogarnął obłęd.

- Przymknijcie jednak drzwi - rzekł ostrzegawczo.

- Nie trzeba, panie leśniczy, nie trzeba, oni tu zaraz będą - odparła sadowiąc się na szerokim parapecie okna.

- Pójdę po Zosię i zabiorę ją na noc do siebie - pomyślał, wychodząc pośpiesznie z mieszkanie. Gdy znalazł się obok furki własnego podwórka, nagle przed nim jakby spod ziemi wyrósł nieznany mu osobnik. Walla, przeczuwając niebezpieczeństwo, silnym ruchem odtrącił stojącego przed nim napastnika, podążając czym prędzej w kierunku izby. Niestety tuż przed progiem mieszkania został uderzony w głowę. Omdlałego wnet skrupowano i z wetkniętą do ust szmatą rzucono do wnętrza izby, gdzie obok siebie leżały już związane sznurami żona i córka.

Stojący w izbie wysoki drab, wyjąwszy z zanadru masarski nóż, podszedł do rozebranej Zosi, ujął swą ogromną łapą młodziutką dziewczęcą pierś, po czym ciął, zostawiając przy ciele gołe, okrwawione zębra.

- O tak - mruknął patrząc ze zwierzęcym zachwytem na rozdygotane w szalonych bólach ciało - teper hołubko odetnę ci drugą, bo i cóż ci w piekle po jednej - syknął oprawca trzymając w zbroszonych krwią rękach następną pierś Zosi. W chwilę potem z szatańskim uśmiechem na twarzy bez skrupułów odciął jej głowę, kładąc obok leżących lecz żywych dotąd rodziców. Śpiesząc się kolejno odciął głowy Wallowej, po czym Walli, a uczynił to w sposób okrutny, jakby katem bywał od lat.

Tymczasem do izby, nie wyczuwając złego wpadła oswojona sarenka.

- O i ty, Laskie nasienie, nie ujdiesz z moich rąk - huknął oprawca, pociągając zwierzę nożem po szyi, następnie rzucił je w śmiertelnych konwulsjach między zamordowanych domowników.

- Skończyłeś? - zapytał któryś z bandy wychodzącego z izby opryszka.

- Skończyłem - odrzekł rozradowany rzezimieszek.

- Chodźmy więc zobaczyć, jak się sprawił Bazylek ze swoją Laszką - dodał tamten.

Dołączając do pozostałych, przeszli na posesję Semeniuków.

- I co? - zapytał któryś.

- Po co pytasz? Sam zobacz - odrzekł szeptem zbój stojący tuż pod ścianą domu.

U Semeniuków w izbie panował półmrok. Ktoś skrzył dużą lampę, zostawiając światła za małą trójeczkę. Słychać było półgłosną rozmowę matki z synem.

- Przyrzeknij, że już zostaniesz, że mnie nie opuścisz - wołała płacząc.

Bazylek od czasu do czasu wypowiadał coś niezrozumiałego, wreszcie idąc ku drzwiom w sieniach, rzekł dość donośnie: - Za chwilę tu wrócę, poczekaj.

- A dokąd to, sokole? Wylosowane zadanie wykonałeś? - zapytał nagle jeden ze zbiorów stojących na zewnątrz.

- Jeśli nie możesz sam załatwić matki, ja to uczynię - dodał wysoki drab.

Nie zdołał jednak wypowiedzieć ostatniego słowa, gdy z rozbitą czaszką zwałił się w sieniach jak długi. Następnym ciosem powalił drugiego współtowarzysza.

- Mateńko, na strych! - zawołał Bazylek. Za późno, gdyż pozostali

dwaj oprawcy w piorunujący sposób zdjęli Semeniukowej głowę.

- Zostawcie, bestie! - wrzasnął Bazylek szturmując żelaznym tomem zdeorientowanych katów.

W chwilę potem w mieszkaniu Semeniuków leżało bez życia pięć osób, w tym czterech zabójców z roztrzaskanymi głowami.

- Pomszczę cię, matulu - wrzasnął nad ciałem matki Bazylek wybiegając na ulicę pełną ciszy i głuchej martwoty. Osiedle przestało żyć. Rozchmurzone na chwilę niebo, wstydząc się czynów ludzkiego rodu, z powrotem przyoblekło się w woalkę szarych, ciężkich chmur.

Bazylek, opuściwszy osiedle, zatrzymał się przy "Starych Dębach", tam usiadłszy na pień porośnięty zielonym mchem spędził resztę nocy i część nowego dnia, rozmyślając o wyczynach cerkiewnej starszyny, banderowskich mołojcach i o swoich.

Okolo południa, tknięty resztką ludzkiego uczucia, zapragnął zobaczyć nieboszczkę matkę. Wrócił więc na osiedle. Stanąwszy przy furtce, nadział się na Franka.

- Widziałeś, wuju, żniwo moich kompanów? - zapytał Bazylek.

- Widziałem - odrzekł tamten.

Bazylek, opuściwszy głowę, wyrzekł półgłosem: - Widzę wuju, że jesteś przy bronii, zabij mnie, zasłużyłem na to. Przedtem powiem, że matki nie zabiłem. Oni to uczynili. Mimo to zabij mnie, proszę - mamrotał przez zęby.

- Wiem, że nie zabiłeś, świadczą o tym trupy bandziorów leżących pokotem w izbie i na dworze - odrzekł tamten. Zabić cię, byłoby za mało, nie uczynię tego, jesteś młody i głupi. Dajeś się otumanić duchownym atamanom i banderowskim oprawcom. W ostatnich tygodniach zginęło tysiące niewinnych istot, mordowanych przez zbrodniarzy, noszących pod odzieniem szkaplerze a w zanadru pistolet i nóż rzeźniczy. Proponuję ci inne wyjście, wstąp w szeregi partyzanckie, poręcę za ciebie. Walcząc z hitlerowcami i rzezimieszkami Bandery zdejmiesz z siebie grzech, w którym się pograżyłeś. Po czym ująwszy go za ramię, wyrzekł: - Oglądnij się i powiedz, co zobaczyłeś za drogą w lesie.

Bazylek spojrział we wskazanym kierunku. Po chwili, nie ujrawszy niczego, odrzekł: - Nic nie widzę, wuju.

- O toś nie lasowy, że nie widzisz prawie za każdym drzewem człowieka. - To nasi partyzanci - rzekł.

- Nasi partyzanci - powtórzył Bazylek zrezygnowanym głosem.

- Ej, inaczej by się sprawa miała, gdyby wczoraj wieczorem ze Szwabami potyczki nie było, żyłoby osiedle, żyłaby Janka - ciągnął Franek. - Co do ciebie, mów, że tu mieszkasz, a podczas rzezi akurat

byłeś w drodze ze Sadów. Resztę omówimy później - dodał. Pozostało nam po katolicku pogrzebać pomordowanych, pomożesz przy tym - rzekł Franek, dając ręką sygnał w kierunku lasu, skąd prawie bezszelestnie wysunęło się kilkunastu rośli, uzbrojonych młodzieńców.

Niebawem zniesione z poszczególnych domów na cmentarz ludzkie zwłoki pogrzebano w jednej dużej mogile, zostawiając na niej napis, mający przypominać potomnym dzieje ludzkiego grzechu.

Wieczorem Franek, przykazawszy Bazylkowi jazdę do Sadów po trzykroć zwracał uwagę, by ten nikomu nie mówił, co słyszał i widział.

- Babci i Michałowi w gospodarce pomożesz, a przy pierwszej okazji zaciągnij się w szeregi walczących przeciwko najeźdźcom i banderowcom. W ten sposób zmażesz część winy. Żegnaj, a nie wspominaj nikomu, żeś mnie tu widział. Nachyliwszy się, szepnął:

- Pamiętaj, pomścić matkę.

- Nie zapomnę, wuju - odrzekł Bazylek, oddalając się w kierunku kolejowego przystanku.

ROZDZIAŁ XXXI

Pewnej wiosennej nocy w Sadach wzdłuż murowanki aż po wygon rozłożyły się hitlerowskie pułki. Rycerze "złamanego krzyża" nie spali, wylapując nikczemnie gospodarzom drób i nierogaciznę. Dopiero nad ranem, gdy w powietrzu pojawiły się sowieckie samoloty, a od północy i wschodu zadudniły ogromne czołgi, hitlerowskie pułki w bojowym szyku rozpoczęły swój marsz na miasto i dalej w kierunku Zaścianocza. Nie uszli i pół mili, gdy wokół nich zamknął się krąg trawiastej barwy czołgów. Jednocześnie za każdym domem, stajnią, stodołą czy drzewem pojawił się żołnierz sowiecki, siejąc z każdego zakątka postrach i śmierć. W ciągu kilkunastu minut tysiąc uzbrojonych po zęby niemieckich żołnierzy w bezgranicznym strachu, szukając dróg wyjścia - przestało istnieć. Po nagłej i niespodziewanej kanonadzie zaległa względna cisza, przerywana chwilami terkotem pepesz, płoszących w głębokich jarach dezorientowanych, niemieckich niedobitków. Wzdłuż murowanki, obok gęsto leżących hitlerowskich trupów, leżało mnóstwo porzuconej, podręcznej broni. Toteż niebawem na drogach pojawiło się sporo wyrostków, będących na usługach banderowskich organizacji, zbierających zgodnie z przykazaniem broń i amunicję. Między innymi widziano tam Jahuba ciągnącego rowem kilka pistoletów maszynowych, widziano Smolija z bratem i Pohrebelnego z Krywoszyją. Poza tym odważniejsi, młodszy gospodarze zbierali skórzane trofeje, jak buty i uprzęż konną. Za zbierającymi broń i amunicję skrycie podążał Bazylek. Z całej duszy pragnął spotkać Medwedzia i duchownego atamana, księdza Martyluka.

- Znajdę ich choćby pod ziemią - myślał.

Zgodnie z przyrzeczeniem danym wujowi Frankowi, za poręczeniem Luszyńcy i Przybyłskiego, wstąpił do Istrybitelnoho Batalionu.

Któregoś dnia, wiedząc, że maszeruje z oddziałem sowieckich wojsk rozgromić banderowców, trzymających się bojowo w podhleszczawieckich bunkrach, z radości promieniał.

- Nareszcie chwycę draba za uszy - marzył, mając na myśli Medwedzia.

Wreszcie, gdy grupa maszerująca znalazła się na wysokości strefy ochronnej bunkrów, z mało wyrosniętych jeszcze zielonych zbóż gruchnęły maszynowe karabiny.

- Odezwał się, krwiopijco - szepnął Bazylek, kładąc się plackiem

na ziemię. Rozpoczął się bój o Hleszczawę. "Istrybitielnyj Batalion" wsparty jednostką sowieckiej lekkiej artylerii, ostrzeliwał wieś i bunkry bez mała tydzień, zmiatając z powierzchni ziemi wiele chat, budynków gospodarczych, drzew i krzewów. Głównym celem było zdobycie podziemnych bunkrów, w których kryła się poważna ilość "siczowników" i hitlerowskich oficerów dowodzących obroną.

Szóstego dnia okrażenia Hleszczawy, Bazylek z kilkoma innymi, otrzymawszy rozkaz atakować, idąc za tankietką bezpośrednio na bunkry z dziką rozkoszą biegł do przodu, a kiedy znalazł się nie ruszony przez mrowie banderowskich pocisków nad jednym z otworów podziemia, jako pierwszy rzucił do wnętrza jeden i drugi granat. Na dole uczynił się niesamowity krzyk i tumult. Bazylek, mając obok siebie Kosteńkę z Zieleńcza, Hrycewicza ze Sadów i Hnatowicza z Małowa, korzystając z nie obsadzonego chwilowo otworu ruchem kota zesunął się w dół, pociągając za sobą pozostałych współtowarzyszy broni. W kilka chwil potem podobnie zostały zdobyte pozostałe otwory bunkra. Rozpoczęła się zatem na dole walka na pistolety, noże, widły, a nawet kulaki.

Bazylek tymczasem, myszkując po znanych sobie zakamarkach, szukał Medwedzia i nagle, jakby go myśl wprowadziła, w zadymiony od wystrzałów zakątek, gdzie, trzymając w ręku płonące luczywo, stał Mikieta.

- Nareszcie, mam cię, psi synu - wrzasnął Bazylek.

- Ach to ty, wyrodny synu cerkwi i narodu - zakrzyknął w odwet Medwed. - Wiedz o tym - ciągnął - żeś własnemu ojcu odraubał tu głowę - szukał cię w tych stronach i znalazł - ja to sprawilem. Wart był ciebie, zdrajco. Język przed śmiercią mu wyrwałem i krwią mu pysio wymazał, a żeby rabiąc, nie wiedział, czyją ścinasz głowę. Słyszysz, psie! Ja to uczyniłem! Ja hulalem na Wołyniu - wyrzynając wioskę po wiosce i osiedla, w tym twoją matkę i dziewczynę. A teraz giń, zarazo! - wrzasnął zwierzęcym głosem, wymierzając bagnetem szybki cios w stronę Bazylka.

Semieniuk okazał się szybszy. Na czas uchylił się ku ścianie, po czym przykucnąwszy niczym kot skoczył na pułkownika, chwytając go długimi rękami za barki.

- Czekałem, psie na tę chwilę. Zamordowałeś mi ojca i matkę. Razem z księdzem parochem uczyliście mnie nienawidzić ludzi. Wiedz, że przybyłych tu żołnierzy ja sprowadziłem. Nadchodzi wasz koniec, psu bracie. Szkoda, że nie ma w środku atamana w sutannie. Najstarszego rangą bandyty w tych stronach. Rozszarpałbym go zębami, ohydny sługo Boży, bracie cerkiewny i szatanie spod święconej wody preparowanej w cerkiewnych spelunkach. Zdradzę ci nowinę: Twój duchowny ataman

przedwczoraj zwinął żagle i czmychnął, pozostawiając was na pastwę losu. W pośpiechu zostawił księgę, z której dociec można planowane morderstwa oraz ich wykonanie. Między tysiącami ofiar figurują w tej księdze nazwiska i imiona i moich rodziców - rzekł zaciskając coraz mocniej ręce wokół ciała Mikiety.

- Puść - wyrwając się, wrzeszczał Medwed.

Ciągle jednak trzymając się kurczowo za barki, krążyli wokół siebie po betonowej podłodze. Młody wiek i siła zaczęły przechylać szalę zwycięstwa na stronę Bazylka, który w dogodnym momencie sięgnawszy szyi pułkownika, począł gwałtownie wokół niej zaciskać swe dłonie, a kiedy wódz bandy, wybałuszony oczy, zważył się na beton, Bazylek na dodatek strzelając z pepeszy, uczynił z jego tułowia makabryczne sito.

Niebawem zamilkły odgłosy strzałów, zamilkły też odgłosy mordujących się wzajemnie ludzi. Hleszczawieckie bunkry zamarty, ogamęły ich ciemności i cisza.

Kilkudziesięciu wyprowadzonych na powierzchnię ocalałych i na wpół obłąkanych zbójów oczekiwało w sądzie polowym na sprawiedliwy wyrok.

Dla batalionu ochotników nadszedł dzień odpoczynku. Zabitych grzebano. Rannych odsyłano do polowych szpitali.

Bazylek, nie czując satysfakcji z pola walki wracał pełen żalu i smutku. Śmierć Mikiety nie przyniosła mu ulgi. Trzymając w ręku oblepiony krwią i błotem kaszkiet, marzył jeszcze o spotkaniach z księdzem szatanem, pułkownikiem Martylukiem.

- Hej żołnierzu z Bożej łaski, a cóżeś taki kwaśny? - zawołał znienacka Luszyna.

- Bo to, widzicie, smutno mi jakoś na duszy - zostałem na świecie sam - odrzekł Bazylek.

- Wiem, wiem - odrzekł pojednawczo Luszyna - trudno, z każdym losem musimy się pogodzić. Nie tylko ciebie to spotkało, ale też tysiące innych. Zbieraj jutro manatki - jest zaciąg do polskiego wojska. Zgłaszaj się, a Szwabów natłuczysz i światła zwiedzisz - dodał.

- Można by tak do wojska? - zapytał ożywiając się Bazylek.

- Pytasz jeszcze, nie ułomek jesteś, a kawał chłopca, więc przydasz się na froncie.

- Jeśli tak radzicie, to zaraz jutro poczynię starania - odrzekł Bazylek.

Nazajutrz w wojskowej komendzie, nie przyznając się, że służy w szeregach "Istrybitielnego Batalionu" uzyskał przydział do wojska polskiego formującego się w Związku Radzieckim w miejscowości Sumy. Tam po

krótkim przeszkoleniu, wykazawszy uzdolnienia w użytkowaniu broni, został wysłany na front. W listach pisanych do babci Michalskiej bycie na pierwszej linii frontu poczytywał sobie za zaszczyt. Ponadto mówił w nich o współtowarzyszach broni o miastach i ziemiach zdobycznych. Około Świąt Wielkanocnych doniósł, że znajduje się na przedpolach Berlina. Był to jego ostatni list z frontu.

W kilka miesięcy później wśród wielu innych wrócili z wojny: Trzaska, Luszyna, Przybylski i Franek.

Babka Michalska oczekiwała Bazyłka, ten jednak nie wrócił.

Opowiadano, że za męstwo i odwagę dorobił się szarży i medali, że zawsze pierwszy szedł w wir największego ognia, wychodząc z niego cało. W ostatnich dniach walki o Berlin widziano go z pepeszą w ręku, biegnącego przez miejski plac sieczony z pobliskich bunkrów i domów niemieckimi pociskami karabinów maszynowych i ręcznych granatów. Nie krył się w lejach po bombach czy artyleryjskich pociskach, biegł na wprost zgięty szukając oczami wroga. Strzelał w prawo i w lewo, a każdy strzał trafiał w wybrany cel.

Któregoś poranka biegnąc jak zwykle odkryty wśród huraganowego ognia tuż przed palącym się gmachem został trafiony w lewe ramię. Nie zważając na ranę, biegł dalej, wołając:

- To za ojca! A kiedy trafiony został w obojczyk, wyrzekł: - To za matkę! O kilka kroków dalej dosięgła go cała seria z cekaemu, zachwiał się i padł, wołając:

- Przebaczcie!

- Przebaczamy! - usłyszał, otworzywszy na chwilę oczy, zobaczył Franka.

- Dziękuję ci, wuju - szepnął ostatnim tchem.

Od Autora

Oddając Szanownym Czytelnikom niniejszą powieść, pragnę poinformować o zmianie nazwisk osób tkwiących w organizacji banderowskiej, jak i całej społeczności ukraińskiej, akceptującej podonczas bez mała wolę i dyktat ludzi spod znaku "Tryzuba" i "Złamanego Krzyża". Wyjątek stanowi nazwisko "Brezdeń". Ten bowiem okazał się, jak nikt inny, bezdusznym, okrutnym, zwyrodniałym mordercą.

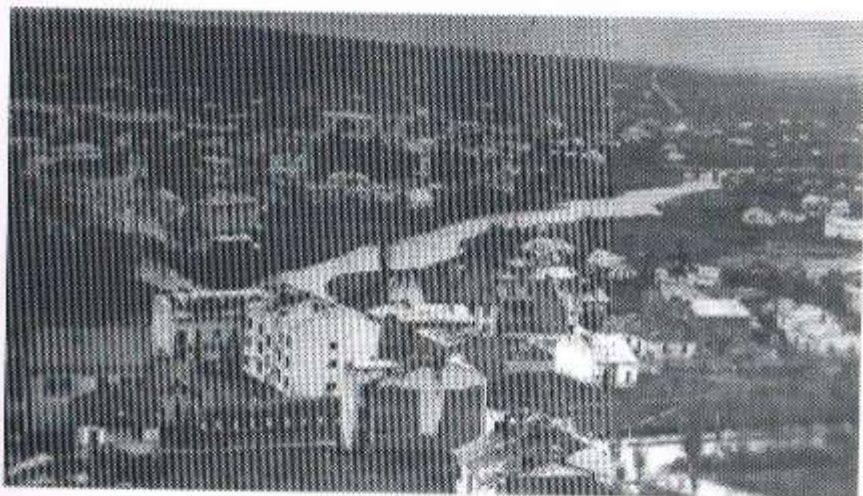
Pozostałych złoczyńców spod tegoż znaku oszczędzono z uwagi na ich żyjące jeszcze rodziny i potomnych. Ponadto wzięto pod uwagę, że większość z nich działała pod presją swych zwyrodniałych przywódców, czego, jak się niebawem okazało, dożgonnie żalowali. Za przykład służy rodzina Semeniuków ze szczególnym uwzględnieniem ich latorośli - Bazyłka.

Mimo że ówczesni mordercy z organizacji Bandery w określony sposób przysłużyli się unicestwieniu polskości nawet przez uśmiercanie co znakomitszych rodzin, w tym kobiet, starców i dzieci, nazywając swe czyny "wybieraniem kąkolu z pszenicy" - wymagają pożałowania, bowiem "nie wiedzieli co czynią."

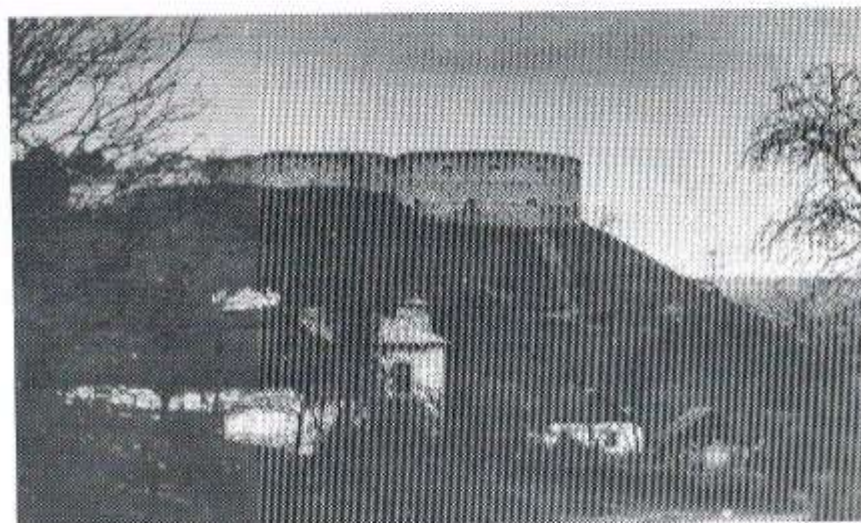
Przy własnym rodowym nazwisku pozostawiono wielu sadowskich, trembowelskich i okolicznych ludzi dobrej woli, w tym ówczesnych działaczy Armii Krajowej oraz nieustraszonego, rzymsko-katolickiego, wielebnego księdza Szytelnickiego.



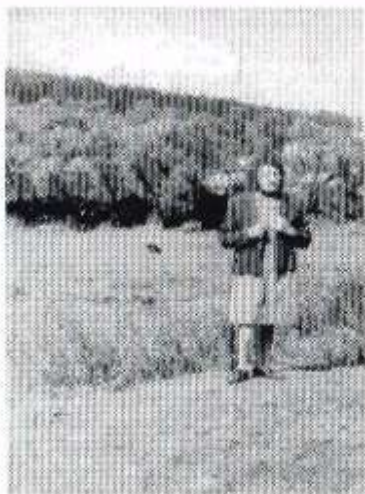
*Panorama miasta - Trembowli
od prawej strony kopuła cerkiewna, w lewo od niej wieża magistracka a
nieco dalej w lewo kościół i klasztor Karmelitów. (zdjęcie wykonano od
strony Plant)*



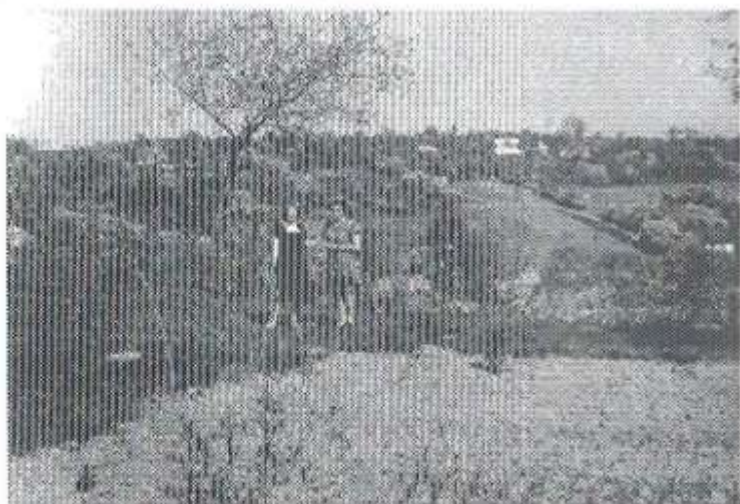
*Panorama miasta Trembowli
pośrodku płynie rzeka Gniezna, pod górą szeroko roztaczają się
Sady. Wokół rzeki widnieją Planty.*



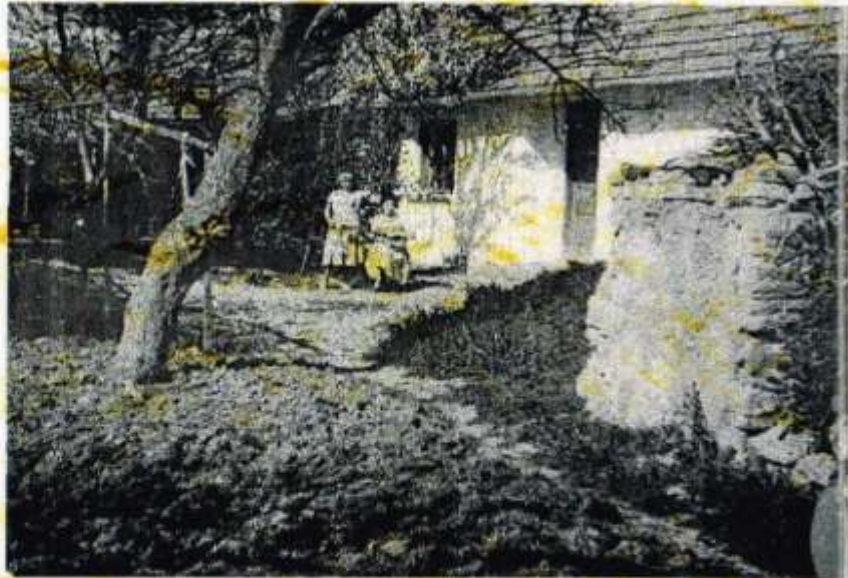
Zamek trembowelski widoczny od strony Sadyków



*Zagajnik Sadowski tzw. ścianka,
widoczny od strony dworca kolejowego*



Fragment Sądów (fotografia od strony rakowieckich łąk)



Trembowelski dom z tamtych lat. Zapewne nie slychać już tu polskiej mowy...